Nr. 47. Lwów, Niedziela dnia 21. Lipca 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

NARODOWOŚĆ POLSKA

POD PANOWANIEM NIEMIECKIEM

przez

KAROLA LIBELTA.

(Ciąg dalszy.)

Z podziałem szkół wedle konfessyi, stał się rozdział i w młodzieży uczącej się. Szkoły katolickie były polskie; protestanckie były niemieckie. Za tym przykładem poszły i inne stowarzyszenia: rolników, przemysłowców, kupców, ludzi naukowych, artystów, akcyonaryuszów różnego rodzaju i t. p. Do niemieckich zgromadzeń nie wchodzili Polacy; od polskich wyłączali się Niemcy.

Oddziałało to i na społeczne i prywatne stosunki. Niemcy żyją wyłącznie ze sobą, i Polacy tylko przestają ze sobą. Znajomości między jednymi a drugimi ograniczają się na zwyczajnej grzeczności, i na stosunkach, jakie współobywatelstwo, sąsiedztwo, urząd, handel, i t. p. koniecznie ze sobą sprowadzać muszą. Publiczne interesa i życzenia, środki i cele, różne są u jednych i u drugich. Ztąd brak przyjaźni i poufałości; brak przywiązania i zaufania między nimi. Jedni mimo blisko stuletniej utraty niepodległości i panowania Niemców nad sobą, nie przestali przecież uważać tej ziemi, jako własnej, a będąc w wielu okolicach jeszcze w liczebnej większości, czują się, że tak powiem, na własnych śmieciach. Drudzy mimo tyloletniego panowania nad nami, mimo potęgi i siły, jaką sobie mianowicie po ostatniej, francuskiej, zwycięzkiej wojnie zdobyli, zdają się nie być jeszcze pewni na polskim gruncie, a ztąd radzi każdej okoliczności, która nas osłabia, umniejsza, wyłącza, a germańskiemu żywiołowi daje przewagę i znaczenie.

Dla ludzi rozsądku i dobrej woli smutny przedstawia widok taki stan ścierania się dwu narodowości. Przykry on dla samych Niemców, przykry i dla nas Polaków; ale mimo tej przykrości tem konieczniejszy, im wyraźniejsze z góry zamachy do zgermanizowania nas. Jak Żydzi chronić zmuszeni się widzimy narodowości naszej, przez niełączenie się, ani bratanie się z Niemcami. Rozdział ten wyrodził na sejmie pruskim i parlamencie niemieckim naszą odrębność narodową. Mocą solidarności wyrobiło się tu i tam koło sejmowe polskie. Posłowie na oba sejmy, wybrani z dawnych ziem polskich, do Prus i Niemiec wcielonych, nie zlali się z całością sejmujących, nie rozproszyli się po różnych stronnictwach parlamentarnych, ale kierując się wyłącznie osobnym swoim interesem, przez samych kolegów niemieckich uznani wreszcie zostali za frakcyą polską.

Rozdział ten narodowy sprawił, że i po za granicami dawnych ziem polskich, w Niemczech, we Francyi, w Anglii, we Włoszech, w Węgrzech, w Stanach zjednoczonych Ameryki, powiązali się słowiańscy współplemieńcy do wspólnego narodowego ogniska. On to wreszcie u nas wyczynił tyloliczne stowarzyszenia współrodacze, w rozmaitych zawodach nauki, sztuki, handlu i przemysłu, stojące o własnych siłach, bez żadnej pomocy, czy rządowej, czy niemieckiej. Możnaby się pytać ze zdumieniem, zkąd się to naraz wzięło, wśród tylu zawad i biedy? Rzekłbym, stało się prawie cudownym sposobem, bo nieobliczanym naprzód. Oto dymisyonowany nauczyciel o czterestu talarach pensyi, z powodu, że nie chciał pełnić funkcyi policyanta i odbywać rewizyi domowych pomiędzy uczniami, ażali nie mają ukrytej broni — rzucony gwałtem w inny zawód, staje się założycielem handlu żelaza, a potem zamożnym właścicielem pierwszej lejarni i fabryki machin w Poznańskiem. Oto dla liberalnych zasad, wygłoszonych z trybuny poselskiej w Berlinie, dymisyowany dyscyplinarnie sędzia, kładzie pierwsze i gruntowne zasady banku polskiego. Dziś posiadamy już cztery banki polskie i rozliczne ich agentury. Im to zawdzięczamy podniesienie wśród nas kredytu i lepszych handlowych i finansowych stosunków, popieranych przez liczne kasy pożyczkowe. Jest to ogromny postęp do dobrobytu; jedyny warunek do podniesienia wśród nas rzemiosł i fabryk, przemysłu i handlu. A bank włościański, jedna z najpotrzebniejszych instytucyi, gdy przyjdzie do skutku, będzie uwieńczeniem tych finansowo-materyalnych kierunków.

Pomijamy stowarzyszenia miłosierne, między którémi nasze towarzystwo św. Wincentego à Paulo tak zaszczytne zajmuje miejsce, a na wzór którego i po innych miejscach pozawiązywane istnieją instytuta dobroczynności. Są one u nas potrzebne ze względu na ubóstwo, któremu Niemiec niełatwo dobrowolną poda pomoc. Są przecież nieprodukcyjne; nie procentują bezpośrednio błogiemi w następstwie owocami. Zasoby spożywają się, a mało pożytku ogólnego przynoszą.

Ważniejszemi o wiele są instytucye przemysłowe i handlowe. U nas bazar, dźwigniony niezmordowanemi zabiegami ś. p. dr. Karola Marcinkowskiego, stanął zawiązkiem akcyi pięćset talarowych. Zamieniony już raz na koszary wojskowe, trzyma się dotąd jako siedlisko i dźwignia przemysłu polskiego. — Nie powiodła się akcyjna żegluga parowa na Warcie; przerwana głównie przedwczesnym zgonem ś. p. hrabiego Potulickiego, który ją całą gorliwością popierał, a nie znalazł po sobie równie gorliwego zastępcy. Pozawiązywały się natomiast liczne akcyjne towarzystwa ku budowie kolei żelaznych, wydobywaniu węgla i kruszcu, oczyszczenia nafty na olej skalny — które mianowicie w Galicyi, jeżeli nie wyłącznie to przeważnie, zostają w ręku i kierunku polskim. W Prusiech sól odkryta w Inowrocławiu i w Wapnie; węgiel ziemny i brunatny po różnych miejscach wydobyty na jaw; ogromne składy torfu zapowiadać się zdają przyszłe akcyjne towarzystwa. Powstały przez Polaków założone nowe fabryki mydła, garbarnie na wysokości dzisiejszej produkcyi skór zwyczajnych, białoskórnictwa i safianów. Gorzelnie i browary, olejarnie, mączarnie i młyny parowe do fabrykacyi *en gros* rozmaitej mąki i kaszy, powstają z przedsiębiorstwa polskiego na różnych punktach. Dodajmy do tego stowa-

rzyszenia czeladzi, drukarzy, nauczycieli elementarnych, przemysłowców i kupców, a będziemy mieli niejakie wyobrażenie o ruchu, jaki się między nami na tem polu odbywa.

Bliżej nas obchodzą związki agronomiczne, bo kraj nasz przedewszystkiem jest rolniczy. Obok niemieckich utworzyło się z polskich rolników, poznańskie towarzystwo centralne agronomiczne, nie uznane jako takie przez rząd, dla tego jedynie, że jest polskie. Ten wyłączny charakter polskości piętnuje je w oczach władz, jako stowarzyszenie polityczne, i dla tego walne jego zebrania odbywają się pod inspekcyą policyi miejscowej. Towarzystwo to z filiami swojemi utrzymuje się li tylko wytrwałością i poświęceniem członków swoich. Wystawy jego rolnicze, a mianowicie Kościańska, udały się wyśmienicie. Założyło ono stacyą chemiczną. W niedostatku rządowej szkoły agronomicznej, urządziło takową własnym nakładem a z pomocą gorliwego na takie cele Augusta hr. Cieszkowskiego, który folwark swój Żabikowo pod Poznaniem na instytut ofiarował. Szkoła ta stała pod dyrekcyą znakomitego z nauki agronomicznej i ekonomicznej dr. Au, a dziś zostaje pod przewodnictwem p. Lubomęskiego i liczy do 70 uczniów. Zdobyło się więc towarzystwo, na co się pod niefortunnemi okolicznościami wobec stowarzyszeń agronomicznych niemieckich zdobyć mogło i złożyło dowód narodowej swojej żywotności.

Przechodzimy w końcu do najważniejszych, bo naukowych spółek. Na czele stoi towarzystwo naukowej pomocy imienia Karola Marcinkowskiego. Istnieje już od lat 32 i liczy, w końcu 1871 roku, blisko 30,000 tal. zasobowego kapitału. Roczne składki przynoszą w przecięciu dziesięć do dwunastu tysięcy talarów. Zaprawdę, kto czyta roczne sprawozdania dyrekcyi tego towarzystwa, i obejrzy błogie jego na oświatę skutki, z wdzięcznością wspomnieć musi pamiętne i błogosławione imię jego założyciela. Utrzymuje się ono li składkami i zapisami obywateli polskich. Wspiera też przeważnie młodzież tej narodowości, chociaż przystęp daje także i niemieckiej ubogiej a zdatnej młodzieży. Statuta nie wyłączają narodowości, wymagają tylko aby stypendyat był rodem z W. ks. Poznańskiego. Iluż to stypendyatów już wyszło z pod pomocy tego towarzystwa, przez 32 lat jego istnienia! Toć już trzecią czy czwartą kształci generacyą i rozsyła ją po różnych zawodach nauki, przemysłu i sztuki, jako świeczniki, któreby były bez tej pomocy prawdopodobnie przygasły. — Równego powodzenia życzymy zawiązanemu na ten sam wzór stowarzyszeniu naukowej i moralnej pomocy dla dziewcząt. Była i jest potrzebą moralną pomoc niesiona niewieściej części narodu naszego, zaniedbanej w młodości z powodu niedostatku, a niekiedy moralnie straconej dla społeczeństwa. (Dok. nast.)

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Jan, czytając ten ustęp, skrzywił się, niekontent był, że Leon posądzał go o miłość, dochodzącą aż do zaślepienia. Wydawało mu się, że więcej mu przypisuje, niż jest w rzeczy samej. Przynajmniej czuł to po sobie, że ta miłość wcale nie pozbawiła go rozumu, ani nawet spokoju. Ale bo zapomniał, że pomiędzy listem, który on pisał, a odpowiedzią Leona upłynęło całe cztery tygodnie. Przez ten czas wiele się w nim odmieniło, uczucie niepodsycane niczem nawet nadzieją, zbiedniało tak, że ledwie cień jego pozostał mu w sercu i wstydziłby się może, gdyby mu Leon był teraz dał do odczytania jego własny list, który napisał owej pierwszej nocy po przybyciu do domu rodziców. Kto wie, czy listu tego nie nazwałby teraz szaleństwem. Tak wytrzeźwiał i uspokoił się od owego czasu.

„Pytasz mnie — pisał dalej Leon — co myślę o Julii; przypuszczasz, że ją znam lepiej niż inni. Mój drogi, kobieta to uosobienie niekonsekwencyi, choćbyś znał wszystkie jej czynności od czasu jak do pierwszej błyskotki, dziecinnej zabawki wyciąga ręce, nie mógłbyś przewidzieć, co ta kobieta może zrobić, a co zrobi w danym razie. Postępowanie jej często zadrwi ze wszystkich wyrachowań ludzkich i sprawia ciągłe niespodzianki. Z kobietą tak jak z meteorologią. Uczony fizyk ślęczy nad tablicami porównawczemi, by z nich dojść praw pewnych, podług których układa się stan atmosfery, bada, obserwuje, oblicza i kiedy mu się zdaje, że będzie już mógł na pewno przepowiedzieć pogodę, zaczyna się słota, paskuda, i meteorolog ze wstydem chowa do kosza swoje przepowiednie. Jako przykład takiej niespodziewanej zmiany w atmosferze kobiecego serca, przytoczę ci Emilkę G; tę smagławą brunetkę, którą nazywałeś zawsze ucywilizowaną cyganką. Wiesz dobrze, jak niecierpiała owego długiego prokuratora z kędzierzawym włosem, w okularach, który bywał u nich, jak wyśmiewała go nieraz przed nami a nawet w obecności jego pozwalała sobie złośliwych żartów z niego. Tydzień temu wyszła za niego i nie z konieczności, nie z obawy staropanieństwa, bo ma majątek i równocześnie starał się o jej rękę jakiś doktor młody, przystojny.“

Następował jeszcze jakiś inny przykład. Jan niecierpliwie przewrócił kartkę, list Leona wydawał mu się próżną gadaniną. Co jego obchodzić mogła jakaś Emilia G; jakaś inna jeszcze panna, o której się także szeroko rozpisał. A może temi przykładami zmienności kobiecej chce przygotować go do tego, co mu chce powiedzieć o mniemaniu Julii. Janowi takie przygotowanie wydawało się wcale zbytecznem a nawet obrażało go po trochu.

— Za wiele robi sobie zachodu ten Leon — myślał sobie — było po prostu napisać tak, lub nie. Czy sądzi, że zemdleję albo apopleksyi dostanę, gdy się dowiem, że Julia mnie nie kocha? Zbyteczna obawa.

Przeskoczył oczami kilkanaście wierszy i czytał dalej.

„Nie chciała uwierzyć, żeś wyjechał. Była pewną, że ją zwodzę, aby przekonać się, jakie to wrażenie na niej zrobi. I aby mi pokazać, że mi się to wcale nie udało, była nadzwyczaj wesoła tego wieczora, bawiła się, trzepotała, nawet niesmaczne dowcipy Adolfa pobudzały ją do szalonego śmiechu. To też Adolf był uszczęśliwiony aż do zarozumiałości. Ale następnego wieczora zmieniła się sytuacya. Panna, widząc że na prawdę się nie pokazujesz, była rozdrażniona, kapryśna i na biednym Adolfku wywarła swój zły humor. Pastwiła się nad nim bez litości, zapytywała go o liczbę jego kolorowych krawatek i czy nie myśli wystawy z nich urządzić. Radziła mu, żeby siebie wystawił w jakim galanteryjnym sklepie, jako okaz najnowszych nowości toaletowych; słowem dokuczała mu okropnie. Nie traciła jednak nadziei, że przyjdziesz, bo uważałem, że za każdem otwarciem drzwi obracała się niespokojnie; ale nie pytała mnie o nic i starannie unikała rozmowy o tobie. Dopiero po paru dniach zapytała mnie, czy naprawdę wyjechałeś z Wiednia, a gdym ją upewnił że z największą prawdą, wybuchnęła głośnym płaczem, płaczem rozkapryszonego dziecka, któremu odmówiono zabawki, poczęła uskarżać się na ciebie, że postąpiłeś sobie nieuczciwie, niegodziwie, zadając jej taką przykrość, a za chwilę znowu zaklinała mnie, bym co prędzej do ciebie napisał, abyś wracał. Byłbym to może zrobił dla niej, ale nie wiedziałem, gdzie cię szukać. Kiedym jej to powiedział, zmartwiła się na seryo, w narzekaniu jej czułem jakieś głębsze tony, przez kilka dni nie wychodziła nigdzie, nawet do teatru. Nie poszła także na jakiś wieczór tańcujący. Ty, który wiesz dobrze, jak się lubi bawić, stroić, pojmiesz całą wielkość tej ofiary, jaką zrobiła na rzecz nieszczęśliwej miłości. Czas jednak ukoił tę straszną boleść. Nie wiele go potrzebowała, bo zaledwie kilka dni, aby wrócić do zwykłego porządku, do zabaw, strojów, nawet do śmiechu, a z tem wszystkiem i Adolf przyszedł także na porządek dzienny. Dopiero, gdym jej wspomniał, że miałem list od Ciebie, przypomniała sobie znowu, że cię nie ma. Rozpytywała mnie szczegółowo, co pisałeś, gdzie jesteś, co robisz, a gdym jej powiedział, że prosisz o jej fotografie, oddała mi cały zbiór z poleceniem, abym ci go przesłał. Kazała nawet umyślnie fotografować się dla Ciebie, co wysłanie mojego listu spóźniło o dni kilka. Jest to właśnie ta fotografia w lokach, dekoltowanie à la Magdalena ma wyobrażać jej skruchę, a w oczach nie trudno ci będzie wyczytać tęsknotę za tobą. Przynajmniej z tą imaginacyą fotografowała się, abyś to wyczytał w jej oczach.

„Oto masz szczegółową relacyą z tego, co chciałeś wiedzieć. Posyłam ci różne notatki, spostrzeżenia same, z których możesz sobie zestawić obraz. O ile on będzie odpowiadał obecnym potrzebom twego serca, nie wiem. Wstrzymuję się od wszelkich osobistych uwag, bo jak powiedziałem, w kwestyach miłości nie da się nic przewidzieć, obrachować, a nie chciałbym mieć na sumieniu wyrzutu, żem rozdzielił dwa serca kochające, lub żem połączył dwa serca, któreby potem całe życie płakały na mnie i na siebie. Kochajcie się, lub nienawidźcie; tylko bez mego pośrednictwa. Nawet ten list piszę nie z własnego popędu, jeno na wyraźne żądanie Twoje, a jako sumienny sprawozdawca muszę dodać, że Julia zaklina cię na wszystko w świecie (jej wyrażenie), abyś przyjechał jak najprędzej. Jeżeli ta prośba miałaby dla ciebie rzeczywiście siłę pociągającą, to powód do przyjazdu łatwo się znajdzie, bo ojciec Julii oczekuje także twego przybycia w kwestyi owej fabryki, którą macie zakładać w jego dobrach. Masz więc dobry powód do przyjazdu. Czy i jak skorzystasz z tej sposobności, to zostawiam do twojej woli.“

Dalej szły oświadczenia przyjaźni zakończone serdecznem, pozdrowieniem, a w końcu: „Jeżeli nie masz zamiaru przyjechać, a znajdziesz tyle czasu i chęci, aby mi coś donieść o sobie, wdzięcznym Ci będę. Chętnie także spełnię polecenia, jeżeli masz mi co polecić. Twój Leon.“

Jan schował list i przyspieszył kroku, aby się zrównać z matką i z Amelią.

— Cóż? dobre jakie nowiny? — spytała go matka. Amelia także oczami czekała jego odpowiedzi.

— Obojętne — odrzekł obojętnie Jan.

Na zakręcie ulicy dopędził ich stary Leszczyc.

— A co dostanę znalezionego, to ci oddam twoją zgubę — rzekł do Jana z uśmiechem. (Staruszek silił się na dobry humor, aby w pamięci wszystkich a może i swojej zatrzeć ową scenę na cmentarzu.)

— Moją zgubę?

— Patrzcież moje panie, to chłopak dopiero rozrzutny; panieńskie fotografie zostawia po drogach — i pokazał fotografię. Była to właśnie owa w lokach, wygorsowana, która tak niepodobała się Janowi.

— Ach, jaka piękna! — zawołała Amelka z nieudanym zachwytem, przypatrując się z żywem zajęciem fotografii. Matka także pochwalnie odezwała się. Tylko Jan nie podzielał tej admiracyi wdzięków Julii; owszem porównywając ją w tej chwili z Amelią, musiał przyznać, że Julia ani mierzyć się z nią mogła pod względem piękności, regularności rysów. Julia właściwie nie miała żadnych rysów, zdobiła ją tylko młodość, uśmiech, który drobnym jej rysom nadawał pewien wdzięk, wreszcie elegancka toaleta. Gdyby jej to wszystko odjąć, ubrać w sukienkę skromną, w jakiej była Amelia, twarz jej wydawałaby się bardzo zwyczajną.

Podczas kiedy Jan robił takie uwagi i porównania, które wypadały na niekorzyść Julii, stary Leszczyc wsunął się między matkę i Amelię i także przypatrywał się fotografii.

— A, ładna, nie ma co mówić.

— Cóż to za jedna? — spytała matka Jana.

— Jedna ze znajomych moich z Wiednia.

— A może coś więcej jak znajoma? — odezwał się żartobliwie ojciec — E! coś mi się chłopcze rumienisz. Zdaje się, że zgadłem.

Nie zgadł jednak stary, bo rumieniec jego miał inny powód w tej chwili. Kiedy bowiem ojciec postawił mu tak drażliwe pytanie, Jan właśnie oczy miał zwrócone na Amelię i widział jak niespokojnie popatrzyła na ojca, potem na niego i zbladła. Przypomniały mu się słowa aptekarza i pierwszy raz zapytał sam siebie: a gdyby to była prawda?

Więcej jeszcze potwierdzało jego domysły dalsze zachowanie się Amelii. Unikała jego wzroku, rozmowy z nim; trzymała się nieodstępnie boku jego matki i przyspieszyła kroku zdążając ku domowi. Kiedy koło furtki na pożegnanie podał jej rękę, zaledwie ją dotknęła swoją, widno było, że chciała co prędzej wyrwać się z ich towarzystwa, bo pożegnała się prędko z Leszczycową, staremu nawet zapomniała powiedzieć dobranoc i rzuciła się w ogród. Jan przypomniał sobie, że podobnie znalazła się owej nocy, gdy chora matka mieniała ich pierścionki. To porównanie bardzo wiele mu teraz wyjaśniło.

Rzeczywiście w bardzo podobnem usposobieniu jak wtedy, wracała teraz Amelia do siebie. Tylko że boleść jej w tej chwili była o wiele większą; tam było dopiero przeczucie, domysł, że Jan jej nie kocha; tu była pewność, że kocha inną. Na taką boleść ojciec jej nie mógł jej dać pociechy. To też nie szukała go; ale poszła prosto do swego pokoju, i nie zapalając świecy rzuciła się na sofę. Nawet płakać nie mogła, ten ogień wewnętrzny, co palił jej nadzieje, jej marzenia, wysuszył łzy. Chwyciła w dłonie, jak w obręcz, rozpaloną głowę i przytuliła się do ściany.

Tak zastał ją ojciec, który w tej chwili wszedł do alkierza. Dojrzał w zmroku córkę siedzącą; ani widział, ani się domyślał, co cierpi w tej chwili.

— Czy spisz? — spytał.

— Nie — odrzekła sucho.

— Dla czegoż nie świecisz?

— Wolę tak. Oczy mnie trochę bolą, palą.

Usiłowała utrzymać obojętny ton głosu, by ojciec z drżenia jego nie domyślał się niczego. Bała się pytań. Wielkie boleści lubią ciemność i milczenie.

Ojciec założywszy w tył ręce, przechadzał się czas jakiś po pokoju. Potem znowu rozpoczął rozmowę, nie przestając chodzić.

— Byłaś podobno z Leszczycami na cmentarzu.

— Tak.

— Kto to był z nimi, ów staruszek siwy, bez zarostu, trochę pochylony.

— To był sam pan Leszczyc.

— Żyd zatrzymał się na miejscu.

— Ten, ten stary w oliwkowym surducie? — spytał żywo.

— Tak.

Nastało długie milczenie. Żyd nie ruszając się z miejsca wpatrywał się w córkę, ale myśl jego widocznie gdzieś indziej była w tej chwili.

— Więc to Leszczyc — powtórzył jakby do siebie i utonął w głębokiem zamyśleniu.

(C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

„Inny zupełnie widok przedstawia naród, przywykły sam załatwiać swe sprawy. Zostawcie Amerykanów bez rządu, a utworzą go zaraz na poczekaniu i pokierują sprawami wspólnemi z należytą znajomością, stanowczością i w porządku. Takim powinien być każdy naród wolny, a posiadający podobną zdolność pewien jest wolności, nigdy nie da się ujarzmić ani jednemu człowiekowi, ani korporacyi, albowiem zawsze będzie umiał ująć i trzymać wodze administracyi centralnej. Przeciwnie w kraju, gdzie wszystko prowadzi biurokracya, nigdy się niczego nie uczyni, co by jej było przeciwnem.Ześrodkować doświadczenie i praktyczne uzdolnienie narodu w jednem ciele rządzącem nad resztą kraju, jest to organizacya zgubna, a im doskonalszem będzie takie wcielenie, im więcej zdolnych ludzi uda się przygotować i wciągnąć do służby, tem zupełniejszą będzie niewola wszystkich, nie wyjmując nawet członków samejże biurokracyi. Władzcy są wówczas niewolnikami swej własnej maszyny, podobnie jak rządzeni niewolnikami tychże władzców. Mandaryn chiński jest narzędziem i kreaturą despotyzmu zarówno jak pospolity wieśniak. Jezuita jest niewolnikiem swego zakonu, chociaż zakon sam istnieje dla potęgi i zbiorowego znaczenia wszystkich swych członków.

„O wartości państwa stanowi zawsze wartość składających je osobników. Państwo, które poświęca podniosłość i sprężystość umysłową obywateli dla cokolwiek wyższej wprawy administracyjnej, lub tylko dla pozoru wprawy nabywanej zwykle w praktyce, państwo, które nawet mając dobro na względzie, zmniejsza prawa osobników, by uczynić z nich uleglejsze narzędzie, spostrzeże dnia pewnego, że z małymi ludźmi nie wielkich dokonywa się rzeczy, doskonałość mechaniczna, dla której państwo nie wahało się wszystkiego poświęcać, w końcu do niczego mu nie posłuży, a wtedy uczuje ono brak tego pierwiastku żywotnego, usuniętego dla ułatwienia działania maszynie.“

Taki jest wniosek Milla: jest to kłam zadany mądrości chwili obecnej. Autor idzie tu przeciwko prądowi i stawia opór mniemaniu wszechpotężnemu na stałym lądzie i rozszerzającemu się nawet w Anglii. Nie będzie on miał za sobą polityków. Powtórzą na wszystkie tony, że narody nie są zdolne same sobą kierować, odpowiedzą teoretykowi, że wszystko to nie tak jest straszne. Lecz skoro zło raz wykazane, a prawda znaną, powodzenie jest tylko kwestyą czasu, i teoretycy pogardzani przez umysły ciasne i nadęte piszą jednak to, co przyszłość odegra.

Jedyny zarzut, który uczynię Millowi, pozostawiając na nim odpowiedzialność za niektóre pojedyncze idee, polega na tem, że książka jego dotyka tylko jednej strony pytania: widzimy w niej wolność, lecz nie widzimy państwa. Rząd przedstawia się w niej jako nieprzyjaciel, z którym walczyć trzeba, administracya jako plaga, którą zmniejszyć należy. Takie już było mniemanie ekonomistów francuskich na początku naszego wieku, lecz nie rozpowszechniło się, bo szło za daleko. Dziś popełniają błąd, rzucając się w drugą ostateczność, lecz nie wszystko jest błędem w tej skłonności.

Czuł to baron Evetvoes i to go spowodowało do napisania książki p. t.: *„O wpływie pojęć panujących w dziewiętnastym wieku na państwo.* Evetvoes mało jest znany we Francyi, wszelako jest to jeden z najsławniejszych i najgodniejszych uwagi mężów w Węgrzech. Poeta, romansopisarz, pisarz polityczny, grał on dość znaczną rolę w ostatniej rewolucyi, był nawet ministrem oświecenia publicznego. Dziś jest prezesem Akademii peszteńskiej, powołany został do rady cęsarstwa i bezwątpienia życie jego polityczne jeszcze nieskończone. Wszelako, jeżeli Evetvoes jest zabobonnym, powinien być umiarkowanym w swej ambicyi. Rzeczywiście jeśli mamy wierzyć podaniu zamieszczonemu przez Pulszky'ego na czele angielskiego tłumaczenia *„Notaryusza wiejskiego“* najlepszego romansu napisanego przez

*

Evetvoesa, wróżka francuska przepowiedziała w roku *1837 przyszłość węgierskiego polityka* i powiedziała mu: „jesteś bogatym, będziesz biednym, pojmiesz za żonę kobietę bogatą; będziesz ministrem i zginiesz na rusztowaniu.“ Przepowiednia sprawdziła się. jak powiadają, z wyjątkiem ostatniego punktu, który należy się spodziewać, pokaże się kłamstwem. Lecz jeżeli sobie przypomnimy męczeństwo szlachetnego Bathyani'ego, przyjaciela Evetvoesa, musimy wyznać, że pod rządem austryackim ani umiarkowanie, ani patryotyzm nie mogą zaręczyć uczciwemu człowiekowi, że nie umrze z ręki kata.

Cokolwiekbądź, Evetvoes napisał godną uwagi książkę, która pod formą cokolwiek za ciężką dla nas Francuzów, zawiera bardzo słuszne poglądy na trzy wielkie pytania zajmujące ludy nowoczesne: narodowość, równość i wolność. Zagadnienie o wolności, które autor w pierwszym stawia rzędzie, sprowadzając doń wszystkie inne rozbierane, jest obszerniej niż w dziele Milla. Na odmiennym stojąc stanowisku Evetvoes lepiej określił rolę państwa; broniona przezeń polityka nie różniąc się zasadniczo od polityki Milla, bardziej jest umiarkowana i lepiej odpowiada potrzebom lądu stałego. Z historyą w ręku Evetvoes dowodzi, że dziś istnienie wielkich państw jest rzeczą niezbędną, jest ono rękojmią narodowości i niezależności, lecz nie ma wielkich państw, gdy państwo nie ma wielkiej potęgi. Idee średniowieczne, idee municypalne i federalne przeżyły już swój czas, zdanie nie polega już na złamaniu siły centralnej przez przywileje miejscowe, lecz na popieraniu rozwoju osobnika bez osłabienia prawowitej władzy państwa.

Oto idee autora tyczące się tego zagadnienia, idee zarówno trafne jak nowe i jasno wyłożone.

Celem państwa jest opiekowanie się interesami moralnemi i materyalnemi wszystkich obywateli. Podtrzymanie więc państwa jest pierwszą rękojmią wolności, bez niego nie masz bezpieczeństwa.

By bronić na zewnątrz niepodległości narodowej, a popierać wewnątrz prawa każdego, państwo potrzebuje znacznej siły. Oto, siła istnieje tylko tam, gdzie łączą się środki i wola? Dziś, gdy żywioły składające nowoczesną cywilizacyą pomnożyły się i zwikłały, minęły już czasy bohaterów, którzy sami przez się wszystko widzieli i wszędzie sami działali. Jedna jest tylko organizacya, jeden tylko system mogący dać jedność środków i woli — centralizacya. Państwo więc, ażeby mogło spełniać obowiązki, których mu nikt nie zaprzecza, powinno się wspierać na silnej centralizacyi.

Lecz centralizacya ta ma granice, nie obejmuje ona wszystkiego. Jakież są te granice? Te same co i granice prawnej działalności państwa. Zagadnienie jest identyczne. Państwo nie jest ani społeczeństwem, ani osobnikiem, a zatem życie społeczne i osobnikowe nie podlega jego władzy; lecz wszędzie gdzie państwo powinno działać, należy mu przyznać ostatnie słowo. Władza jego musi być nieograniczona, lub innemi słowy, zcentralizowana. *Imperium nisi unum sit, esse nullum potest,* powiedział już Scypion w Rzeczypospolitej Cycerona*).

Pod tym oto względem teorya Rousseau jest prawdziwą. Od czasu jak niepodległość i spokój publiczny zostały zabezpieczone, słusznie można mówić, że państwo jest sumą wszystkich obywateli, że dobro publiczne jest dobrem każdego, że wola ogółu jest wolą każdego. Niech nadejdzie wojna lub zaburzenie, a któż nie jest zagrożony?

Nie tak się już rzeczy mają, gdy się przeniesiemy w inną dziedzinę i będziemy przemawiali jedynie w imię interesu powszechnego; tutaj już system Rousseau upada. Odkąd rzecz idzie o sprawy wewnętrzne, nie tyczące się już wspólnego bezpieczeństwa, widocznem jest, że nawet w kraju głosowania powszechnego wola państwa jest tylko życzeniem pewnej większości. Życzenie to, jak dowodzi doświadczenie, jest często niesłuszne i łatwo przechodzi w ucisk mniejszości i osobników.

Gdzież znaleźć rękojmie przeciwko tej tyranii większości? Czy w rządzie konstytucyjnym? Nie, jest to rząd większości, i on także może się okazać niesprawiedliwym i gwałtownym. Nie dowodzi to, aby Evetvoes mało szanował urządzenia konstytucyjne, od lat dwunastu broni ich, a przyznać należy, że w Węgrzech, i do tego za naszych czasów, stałość ta każe przypuszczać miłość niekłamaną. Lecz Evetvoes nie żąda od tych urządzeń tego, czego nam dać nie mogą. Przedstawicielstwo narodowe, wolna prasa i wolna trybuna miarkują rząd na wewnątrz i czynią go potężnym, by mógł stanąć w obronie czci narodowej przeciwko wrogom zewnętrznym, lecz jakkolwiek wielkie są te rękojmie, nie są one dostateczne dla poparcia osobnika. Gdy namiętności religijne lub polityczne ogarną pewien kraj, któż przeszkodzi mniemaniu powszechnemu dopuścić się gwałtu, któż zabroni izbom głosować za prześladowaniem? W siedmnastym wieku prawa angielskie dotyczące katolików były również surowe i również niesprawiedliwe jak francuskie gniotące protestantów, a przecież wydane zostały przez parlament. Wybieram ten przykład cokolwiek oddalony, aby uniknąć zbyt ożywionej krytyki, lecz nie będziemy potrzebowali długo szukać w naszej pamięci, by się upewnić, że w pewnych chwilach prasa nie jest nieomylną, że nie zawsze można żądać od izb bezstronności.

(C. d. n.)

*) De republ. I. 30. 60.

WSPOMNIENIA STARYCH ŻOŁNIERZY

spisał

EZECHIEL BERZEWICZY.

II.

Bój pod Tyszycą.

(z opowiadania Antoniego Szaszkiewicza).

(Dokończenie).

Generał Chrzanowski (gdyż to on był) odsalutował i zapytał grzecznie Różyckiego czyli służył poprzednio w wojsku?

— W drugim pułku ułanów, jako oficer, odbyłem kampanię w 1812 roku, odpowiedział. — Podczas tego szwadrony nasze defilowały, salutując generała.

— A to już rozumiem ten porządek! lecz podziwiać muszę i twoją umiejętność i zmysł tych walecznych, którzy w tak krótkim czasie, wśród tylu stoczonych bojów przyswoili sobie taką wojskową rutynę, że trudnoby ich od starej, wyćwiczonej jazdy odróżnić.

Następnie Różycki przedstawił mnie w chlubnych słowach generałowi jako swego adjutanta, a w końcu okazał mu zdobycze nasze na nieprzyjacielu.

— Winszuję panu — odparł Chrzanowski, są to trofea, które nawet regularnemu wojsku zaszczyt by przyniosły!

Chrzanowski posłał adjutanta z rozkazem, aby broń ustawiono w kozły, a nam kazano zleźć z koni; po dopełnieniu czego, zmięszała się wiara z naszymi. — Radośne okrzyki wspólne: „Niech żyje generał Chrzanowski!“ następnie: Niech żyje Różycki!“ powtarzano kilkakrotnie.

Tu nadeszła chwila wspólnej wymiany manierek... My mieliśmy w furgonach wielką ilość butelek z rumem, porterem i winem różnego gatunku, a było tam nawet i szampańskie, co wszystko zdobyliśmy pod Uchaniem! Obfite zapasy dragonów nie poszły marnie, bo je wiara nasza nietylko wyszukać, ale i sprytnie zabrać umiała, że aniśmy się spostrzegli, kiedy to się stało... Radość tedy była ogólna, tylko jeńcy jej nie podzielali. Można sobie wystawić smutne położenie pułkownika dragonów Bohdanowa, patrzącego na tę biesiadę;— ranny nieborak i w niewoli, a co stokroć było dlań boleśniejsze, to, że jazda jego została zniesiona! Współczując z jego położeniem obchodziliśmy się z nim z największą dyskrekcyą i uprzedzającą względnością i żaden z naszych żołnierzy nie mijał go bez salutowania. To też w ciągu tego odpoczynku powiedział do mnie po moskiewsku: „Okropny los wojny mię dotknął, ale przyznaję, że jestem między szlachetnymi i ludzkimi wojownikami“.

Siedziałem na koniu z obandażowaną nogą, której strzemię o połowę było skrócone; generał, dowiedziawszy się o tem, przysłał adjutanta Gostkowskiego, ofiarując mi swój powóz, dla dojechania do twierdzy. Przyjąłem to z wdzięcznością. Różycki zarzucany przez całą drogę pytaniami generała, jechał obok niego i pozyskał go sobie tak, że w Zamościu aż do wymarszu, obejść się bez niego nie mógł.

Tymczasem, z fortecy powyjeżdżały naprzeciw nam różne osobistości wyższych sfer, którym generał Chrzanowski jak najzaszczytniej Różyckiego przedstawiał; a przy otworzeniu bram, odezwały się okrzyki po trzykroć:

— Ura! niech żyją Wołyńce! niech żyje ich dowódzca!

Generał Krysiński, komendant twierdzy Zamościa, przyjął nas także serdecznie. Do rządu narodowego posłano raporta od obydwóch generałów o wejściu do fortecy pułku jazdy wołyńskiej pod komendą Karola Różyckiego.

Kończąc na tem moje opowiadanie, winienem jeszcze parę słów moim starym towarzyszom broni.

Stanisław Worcel, o którym wyżej wspomniałem, człowiek wielkiej głowy, ale wątłych sił fizycznych, suchy, maleńki, nosił pałasz taki, jak to czasem dzieciom na zabawkę kupują. Dusza gorąca, odważny nad podziw, ale skutkiem jakiegoś fatalizmu zdarzały mu się rozmaite przypadki. I tak, przy pierwszej szarży pod Uchaniami, zaczepia się o furaższnury i spada z konia. Bój jeszcze kipi a on na czworakach dociera do baraku oficera moskiewskiego, w którym właśnie skrył się był bohater carski, a Worcel znalazł się w położeniu owego zająca, którego charty do lisiej jamy zapędzą, a on tam zastaje lisa... Sytuacya obydwóch była jednakowa!

Kiedy później koledzy żartując z niego, pytali, czy może rozpytywał się owego oficera o Charkowski uniwersytet? (bo Worcel był wysoko

wykształcony i z zamiłowaniem podobne dysputy prowadził), na to on z całą naiwnością odpowiadał:

— Jakem tam wlazł, słyszę, że coś się w głąb wsuwa, zbliżam się i poznaję oficera od dragonów... Pierwszy przeto odzywam się po moskiewsku do niego: „Patrz kolego, w jak jednakowem znajdujemy się położeniu! Ot wiesz co? siedźmy cicho, póki się bój nie ukończy; bo we dwóch i tak niewiele pomożemy, gdyż jak mowią: bez jednego żołnierza wojna obyć się może! Rozsądny widać był to człowiek ten Moskal, bo moją propozycyą przyjął i przesiedzieliśmy cicho całą bitwę. Ow Worcel pojechał następnie do Warszawy, był jednym z najenergiczniejszych posłów z Wołynia i jednym z pierwszych, którzy podpisali detronizacyą cesarza Mikołaja.

Drugi fakt również zabawny przychodzi mi na pamięć z moim kolegą Mikołajem Wizowskim, który w pułku naszym służył i znany był jako wprawny strzelec i dzielny żołnierz. Na kozaków miał szczególny apetyt i dla pokonania ich używał tysiącznych a coraz to sprytniejszych manewrów. Kozacy bowiem swoimi ciągłymi podjazdami taką wyrządzają plagę dla wojska, że każdy z chęcią na nich idzie, więc niedziw, że i Wizowski namiętnie takie ekspedycye lubił. Otóż, przy rozsypaniu się kozackich flankierów po wyjściu naszem z Grabowca, Wizowski wziął sobie na oko jednego kozaka na dzielnym koniu i już go ciągle obserwował. A trzeba wiedzieć, że Wizowski miał konia nazwiskiem Jaszczur, który przed powstaniem jeszcze zadziwiał wszystkich swoją tresurą i wielką intelligencyą. Wizowski z lancą na flankierów nigdy nie wyjeżdżał, ale z dubeltówką lub sztućcem na przedniej łopatce konia po prawej stronie tak misternie przypiętym, że w każdej chwili mógł go mieć w ręku; oprócz tego miał pistolet, ale tylko na panewce podsypany. — Koń zaś jego podczas strzału tak spokojnie się zachowywał, jakby wiedział, że od tego celność strzału zawisła. Wizowski twierdził, że w tym momencie nawet oddech w sobie zatrzymywał.

Upatrzywszy sobie tedy jednego kozunia. podjeżdżał go ciągle, a gdy się już zbliżył na strzał karabinowy, pali do niego z pistoletu prochem tylko podsypanego i udając przestrach zaczyna niby uciekać, ale tak jakoś tępo, że kozak uzuchwalony leniwym biegiem Jaszczura, pędzi za nim jak szalony i wrzeszczy na całe gardło:

— *Nie ujdiosz, nie ujdiosz!*

Wizowski daje się dopędzać, a mając go już blisko, zwraca raptem Jaszczura i wymierza sztuciec nabity garścią loftek. Kozak spostrzegłszy to, zwraca się i pochyliwszy się zwyczajem kozaków na siodle, wystawia na cel... siedzenie. Jednym strzałem wyrzuca go Wizowski z siodła i słyszy, jak ten spadając łaje go:

— A łotrze! to ty szrutem strzelasz!

— Łżesz drabie, bo loftkami! odpowiada mu homerycznie Wizowski, a następnie z najzimniejszą krwią chwyta konia jego za cugle i wypróżnia poduszkę, w której kozacy zwykle przechowują pieniądze i różne kosztowności z rabunków pochodzące.

Obiecałem wam kochani koledzy opowiedzieć zdarzenie, które mnie się przytrafiło, a które odłożyłem na sam koniec mego opowiadania, aby nie psuć porządku poprzednich wypadków.—Owóż zostawiony przez Różyckiego, z małą garstką żołnierzy przy broni, całą baczność zwróciłem na nią z obawy, aby niedobitki, tu i ówdzie kryjący się, o odbicie jej nie pokusili się. Jak powiedziałem strzelano jeszcze czasami z pod wozów sianem naładowanych i po krótkiej przerwie, gdy pardonowany oficer Daszkow przechodził koło mnie w zamiarze ugodzenia mię szablą, pada na raz kilkanaście strzałów z pod wspomnianych wozów; moja klacz w tym momencie daje nadzwyczajnego susa, a Daszkow zamiast w głowę tnie mię tak w udo, że aż do kości je przecina; nie miał czasu hultaj nawet szabli z uda wyciągnąć, bo klacz przedniemi nogami zwaliła go pod siebie, a szeregowiec Poradowski przeszył go lancą natychmiast. Dopiero teraz spostrzegłem, że moja klacz miała odstrzelone ucho przy samej głowie i z bolu dała tego szpringla, którym ocaliła mi życie. Wspomnieć jeszcze muszę, że w owym pułku dragonów służyło siedmiu braci, nazwiskiem Daszków; pięciu rodzonych a dwóch stryjecznych. Jeden z nich, był na placówce, któremu rękę obciąłem; drugi, co podstępnie chciał mię zabić, jakby na pomszczenie brata instynktem wiedziony, gdyż wiedzieć o tem jeszcze nie mógł. Czterech ich wówczas zginęło a junkier i oficer obaj ranni dostali się do niewoli...

Pod samym Grabowcem uratowaliśmy jakąś hrabinę Ostarbowską (?) z piękną córką, od rabunku przez kozaków, a może od hańby i śmierci. Rzeczy jej ulokowano dla bezpieczeństwa na furgony, a ona z córką jechała w powozie obok naszych taborów. Z wielkiem współczuciem patrzyła na mnie, a nawet własną ręką obandażowywała zacna ta pani moją ranę. Nie daleko Zamościa, zapewniona, że nie ma się czego więcej obawiać, rozłączyła się z obozem.

* * *

Na waletę opowiedzieć wam jeszcze muszę nieco o bitwie pod Iłżą, szczególnie o owym pojedynku Różyckiego z pułkownikiem Howenem*) a następnie o mojej aferze z majorem Hewesem, ponieważ wy, jako będący na skrzydłach, widzieć tego nie mogliście.

Trzeba wiedzieć, że prawe nasze skrzydło najechało na dragonów tak blisko, że między dwoma frontami nie byłoby nawet miejsca dla dwóch jeźdźców bijących się; lewe zaś skrzydło nasze było więcej otwarte, zatem i środek gdzie stał przed frontem pułkownik dragonów Howen był obszerniejszy. Otóż patrzałem na to, jak Różycki od prawego naszego skrzydła między dwoma frontami galopował prawie po przed nozdrzami naszych koni prosto na Howena, a zajechawszy z prawej strony, zaatakował go. Jak wam wiadomo, Howen chciał obciąć cugle Różyckiemu, ale w tym momencie dostał tak silne cięcie przez głowę i twarz, że się z konia zwalił. Patrzałem na to z bliska i z góry pewny byłem, że się tak skończy.

Gdy się to dzieje, major czy podpułkownik od dragonów Hewes, (którego jeszcze przed rewolucyą znałem), wyskakuje naprzód i obejmując komendę nad dragonami, komenderuje donośnym głosem: „do ataku!" — Dragoni i nasza wiara nacierają na siebie, a ja uderzam na majora. A był to tęgi chłop i bił się wcale nieźle! Rąbiemy się tedy aż pałasze trzeszczą; kilka cięć odparował, ale to nic nie pomogło, bo w końcu otrzymał dwa cięcia i kiedy podwoiłem sił, aby go trzeciem z konia powalić, mój major spada z konia, nagle lancą zepchnięty. Był to Tytus Sarnecki, który mi wtedy w sukurs przyskoczył i z po za pleców moich lancą go przebił. (Wolałbym był jednak, gdybym go sam był pokonał). A tak, dwóch sztabowców padło pod Iłżą, z których jeden ciężko ranny w Kielcach leczył się w szpitalu, a drugi zginął na placu.

Po zwaleniu się majora z konia, już dragoni byli złamani i w ucieczce; ja pędząc za nimi (przypominam sobie), napotkałem ciebie, kochany Ezechielu, skurczonego na koniu i nie zatrzymując się, zapytałem tylko czyś nie ranny? a we dwie minuty może zapędziwszy się w opłotki między tę hałastrę, obskoczony ze wszystkich stron, zostałem ciężko ranny. Ztamtąd odesłano mnie do szpitala, gdzie długą i bolesną kuracyą przebywać musiałem. Po tem rozłączeniu, nie zeszliśmy się razem w ciągu wojny, i dlatego te szczegóły opowiadane tu nie wszystkim były znane.

*) Patrz „Wspomnienia podporucznika".

KONGRES MIĘDZYNARODOWY LITERACKI W PARYŻU*)

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Z siedmnastu zaproszonych na kongres Polaków, trzech tylko wzięło w nim udział, tj. Szymanowski redaktor „Kuryera Warszawskiego," Sygurd Wiśniowski i niżej podpisany autor tego listu. Innych rozmaite wstrzymywały względy, czasem osobiste, a czasem przekonaniowe, wobec których np. jakiemuś profesorowi nie wydawało się rzeczą stosowną uczestniczyć w zgromadzeniu, obradującem pod przewodnictwem tak mało popularnych w Krakowie osobistości jak Wiktor Hugo. Jednakże Wiktor Hugo mimo owego milczącego „veto" prawomyślności krakowskiej został obrany prezydującym, i kongres rozpoczął swoje obrady. Wzięli w nich udział przedstawiciele wszystkich literatur żyjących, począwszy od mniej więcej lodowatych i śnieżnych, a skończywszy na tak egzotycznych jak brazylijska. Pierwsze stosunkowo najciekawsze posiedzenia poświęcone były sprawozdaniom ze stanu piśmiennictwa i piszących w rozmaitych krajach europejskich i amerykańskich: każdy z delegowanych odczytywał sprawozdanie we właściwej komisyi, następnie zaś z tych pojedynczych przeglądów p. Alfons Gonzales, deputowany a zarazem i znakomity pisarz hiszpański, ułożył sprawozdanie ogólne, które odczytanem zostało na walnem zgromadzeniu.

Niepodobna mi dawać wam przekładu całego sprawozdania; ograniczę się więc na przytoczeniu z niego tych tylko ustępów, które bliżej obchodzić nas mogą. Przeszedłszy od literatury rosyjskiej do naszej, p. Gonzales mówił co następuje:

„Literatura polska została również uwzględnioną w tem sprawozdaniu. Delegowany p. Szymanowski opowiada nam w wybornej francuzczyznie, że jak wszędzie tak i tam „le journal a effacé le livre, que les litérateurs préférent en égard à leurs dépenses s' attacher à la presse;" dalej, że nie licząc prasy prowincyonalnej, w samej stolicy wychodzi około 60 pism peryodycznych w języku polskim, z których jedno podniosło liczbę swych przedpłacicieli od 13 do 15 tysięcy. Literatura polska przedstawia znaczną liczbę pisarzy wielce utalentowanych: poetów, romansopisarzy, autorów dramatycznych; ale mówiąc w ogóle produkcya miernych talentów uciska pracę tych autorów, którzy przedewszystkiem patrzą na wewnętrzną wartość swych dzieł.

*) Swoje uwagi w tej sprawie poczynimy później.
Przyp. Red.

„Praca literacka płaci się od 5 do 20 centimów za wiersz, co biorąc na uwagę mierny stan finansowy kraju jest wynagrodzeniem dosyć dobrem (assez lucratif.)

Poeci dramatyczni nie otrzymują tantyemy; płacą im od 800 do 1500 franków za sztukę wypełniającą całe widowisko, ale dzięki powstawaniu coraz nowych teatrów, położenie dramaturgów idzie ku lepszemu.

Dziennikarstwo pochłania głównie pisarzy i zyski, mimo tego jednak przez zajęcie, jakiem publiczność otacza literaturę, znajdują się edycye dzieł uznanej wartości, które rozchodzą się w dziesięciu aż do dwunastu tysięcy egzemplarzy. Co więcej: w myśl uczczenia jubileuszem 50-letniej działalności Kraszewskiego, zebrano już setki tysięcy franków i wyborowe dzieła tego wielkiego pisarza rozeszły się już przeszło w 10.000 egzemplarzach, a jest możliwe, że cyfra ta jeszcze się potroi. W ogóle o literaturze polskiej można powiedzieć, że spotężniała i że kwitnie dzięki swym własnym usiłowaniom, nie uciekając się i nie pragnąc znaleść podpory na zewnątrz siebie samej.“

Prócz tego p. Alfons Gonzales wspomniał jeszcze, że w tej chwili czynią się starania w Petersburgu o uzyskanie pozwolenia na założenie towarzystwa wzajemnej pomocy literackiej, a nakoniec jeszcze i o tem, że p. Szymanowski podał kongresowi projekt ustanowienia komitetów, których obowiązkiem byłoby przekładać i rozprzestrzeniać arcydzieła wszystkich literatur świata.

W szczegółowem sprawozdaniu p. Borysa Thiviler z literatury rosyjskiej, uderzył ogólnego sprawozdawcę p. Gonzalesa wyjątkowo pomyślny stan, w jakim znajduje się literatura i piszący w Rosyi. Mówi o niem co następuje:

„Delegowany rosyjski M. Boris Thiviler mówił bardzo niewiele. Literaci rosyjscy żadną miarą nie mogą się skarżyć. Publiczność czytająca jest tam bardzo liczna i pełna entuzyazmu; kobiety rosyjskie czytają więcej niż Francuzki, a daleko więcej niż Hiszpanki i Włoszki. Prawdziwy talent jest tam pewny, że przebije sobie drogę, znajdzie wydawców, a z czasem i fortunę. Jeżeli wreszcie są biedni literaci, to dla tego, że są wszędzie.

Ze sprawozdań o pracy literatów w Niemczech, Francyi, Anglii itp. można się było przekonać, że praca i w ogóle warunki, w jakich żyją piszący w powyższych krajach, nie są tak pomyślne, jak to sobie zwykle wyobrażamy. Prawdziwie utalentowani literaci i dziennikarze płatni są wprawdzie znakomicie i częstokroć dochodzą do majątków, ale też talenta wybitne wszędzie są wyjątkami. Zwykli pracownicy nie wiele lepiej mają się niż u nas; różnica zaś między nami a Zachodem polega na tem, że gdy na Zachodzie zarabia ten, kto najlepiej pisze, u nas ten kto najwięcej pisze. U nich popłaca talent, u nas liczba wierszy; zwykle bowiem zapłata za wiersz wynosi w dziennikarstwie naszem od 6 do 10 groszy, nie zaś jak było podane w sprawozdaniu, od 5 do 20 centimów. Wypada z tego, że reporter, umieszczający o wypadkach ulicznych pięćdziesiąt wierszy dziennie, zarabia więcej niż fejletonista, dający artystycznej roboty 500 wierszy tygodniowo.

Mówiąc w ogóle o warunkach, w jakich znajdują się piszący i literaci w całym świecie, znakomity sprawozdawca tak zakończył swoją pracę:

„Zbliżam się do rozwiązania nowego ciężkiego zadania. Streszczając ową podróż naokoło świata, jaką odbyliśmy na kilku stronnicach, przychodzimy do uwag zarówno ciekawych jak zajmujących. Wszędzie zyskuje się więcej powieścią niż poezyą, więcej teatrem niż powieścią, więcej dziennikiem niż teatrem. Wszędzie widać, że dziennikarstwo jest jedynym zawodem stałym i pewnym dla ludzi pióra, i że kto w piórze chce szukać rzemiosła, ten ma przed sobą prasę i nic więcej. Wobec tego, częstokroć widząc dziennik i książkę, mimowoli chce mi się powiedzieć: „Ceci tuera cela.“ Po kilku zaś chwilach mówi dalej:

„Widać jeszcze — i miło nam to powiedzieć, że w ogóle ludzie pióra zdobyli sobie zaszczytne miejsce w społeczeństwie; że nie ma już więcej ani trubadurów błędnych, ani poetów płatnych, ani żebraków, ani niewolników. Pisarze stali się tak dalece czwartą potęgą świata, że są arystokracyą jak szlachta, siłą jak wojownicy, i religią jak duchowieństwo.

„I nie uroku geniuszu braknie im dziś, ale raczej czasem i gdzieniegdzie uroku pieniędzy. Nie idzie więc dziś o budowę gmachu ich sławy, ale o budowę banku z ich kasą.

„Nie masz dziś nic potężniejszego nad pióro. Pióro, które od niejakiego czasu stało się stalowem, podobne jest bardzo do miecza. Oto dla czego czasem rani, a nawet zabija. Powinno więc służyć jako miecz do obrony sprawiedliwości, do niszczenia zła i każdy pisarz powinien przyjąć jako własną, ową starożytną dewizę wypisywaną na cienkich klingach toledańskich: „Nie dobywaj mnie bez racyi, nie chowaj bez czci.“

Na tem kończy sprawozdanie swe p. Alfons Gonzales. Warunki pieniężne, o których musiał mówić, mówiąc o stanie piszących w najrozmaitszych krajach świata, łączyły się bezpośrednio z prawem własności autorskiej, dla tego następne posiedzenia kongresu były tej ważnej kwestyi poświęcone. Z bardzo małymi wyjątkami, prawa te nie są nigdzie zabezpieczone. Autora angielskiego, francuskiego, niemieckiego lub polskiego wolno jest przerabiać, tłumaczyć, a nawet i przedrukowywać wszędzie, gdzie się podoba. Stany Zjednoczone np. łupią najbezkarniej przedrukami literaturę angielską, a okradają z pomocą tłumaczeń i przeróbek francuską. Dochodzi to w pomienionym kraju do tego stopnia, że wydawcy lub przedsiębiorcy teatralni biorąc powieści lub dramata z języków obcych, nie zadają sobie nawet trudu zacytować ich autorów. Widziałem np. Damę Kameliową Dumasa syna, grywaną w New-Yorku i Bostonie pod zmienionym tytułem „Kamilla.“ Dalilę Feuilleta pod tytułem „Syrena“ bez najmniejszej wzmianki, kto i gdzie sztuki te pisał. Wiadomo również dobrze, że teatr nasz żyje przeważnie repertuarem francuskim, nie pytając nikogo o pozwolenie; wiadomo, że wydawcy nasi zarzucają rynek księgarski lub zapychają szpalty dzienników powieściami francuskiemi, nic nikomu za to nie płacąc. Słowem: nigdzie autor po za granicami swego kraju nie może być pewny, czy go nie zrabują, nie przetłumaczą, lub nawet wprost nie przedrukują.

Na pozór wydaje się, że takie kraje, jak np. nasz, które bądź co bądź muszą posiłkować się płodami obcych literatur — dobrze wychodzą na tej wolności, ale w gruncie rzeczy tak nie jest. Dobrze finansowo wychodzą tylko wydawcy, którzy płacąc po dwa grosze od wiersza za haniebne tłumaczenia, nie literatom, ale rozmaitym...... sprzedają czytelnikom za dobre pieniądze, to, co kupili za nic. Delegowany wiedeński powiedział na kongresie: „Widziałem wasze francuskie sztuki grane w Wiedniu, tłumaczone w ten sposób, że nie były już pisane po francusku, ale nie były także po niemiecku.“ I dowcipny delegat miał słuszność. Tłumaczenia francuskich utworów, jakiemi wydawcy zasypują w niesłychanej obfitości rynki księgarskie, kalają język narodowy, przekrzywiają i psują go, wreszcie wstrzymują rozwój literatur narodowych, ponieważ, jak łatwo zrozumieć, płody oryginalne nie mogą wytrzymywać konkurencyi z przekładami.

Społeczeństwo nic nie traci na zatamowaniu korsarstwa literackiego i dziennikarskiego; literaci narodowi wprost zyskują, bo będą płaceni lepiej i poszukiwani usilniej; zyskuje także każda poszczególna literatura. Dokonywa się wprawdzie wiele przekładów dzieł naukowych i literatur obcych i utrudnienie takich tłumaczeń byłoby szkodą, należy pamiętać jednak, że te ostatnie nigdy nie dokonywają się w celach handlowej spekulacyi — i że uczonym z uczonymi zawsze będzie łatwo się porozumiewać bądź o najmniejszą cenę za przekład, bądź nawet o dokonanie go bez zapłaty.

Uchwałę, wzbraniającą przekładów darmo, popierali szczególniej gorliwie Francuzi z mniej zresztą szlachetnych pobudek, chodziło im bowiem głównie o franki, z których, jak im się zdaje, cały świat ograbia ich bezkarnie. Chciwość owa na susy i franki objawiła się nawet niejednokrotnie w walkach nieparlamentarnych i w niedopuszczeniu opozycyi do głosu. Opozycya jednak była słaba. Delegacye zagraniczne miały swoje wspomniane wyżej powody, które nakazywały im zgadzać się z ustawą. Turgeniew oświadczył mniej w celu oponowania, jak w celu objaśnienia wewnętrznych stosunków literackich rosyjskich, że w Rosyi wyjątkowo zastęp tłumaczów składa się nie ze zwykłych rabusiów literackich, ale raczej z ludzi młodych, pracujących, po największej części studentów uniwersytetu, którzy w przekładach znajdują często sposób do życia, zatem wyjątkowo, jako ubodzy i nie mogący płacić za prawo tłumaczenia zasługują na uwzględnienie. Odpowiedział na to delegat wiedeński, że klasa ta niezaprzeczenie „fort interessante“ będzie miała otwarte zawsze pole do prywatnego porozumienia się z autorami, którzy położenie potrafią uwzględnić. Po tem objaśnieniu delegaci zagraniczni kolejno przystępowali do wypowiedzenia swego zdania w tej materyi. Polacy, po przemówieniu Wiśniowskiego zgodzili się bezwzględnie z uchwałą, za niemi poszły delegacye: rosyjska, angielska, amerykańska, rumuńska, w końcu brazylijska i prawie wszystkie inne z wyjątkiem hiszpańskiej, która próbowała przez usta pana Elvivo bezskutecznie zresztą wprowadzić kilka zastrzeżeń.

Jednocześnie z kwestyą własności autora rozstrząsano i kwestyą własności jego spadkobierców. W pewnej części zgromadzonych objawiła się dążność do porównania własności spadkowej literackiej z wszelką inną własnością, t. j. do przyznania spadkobiercom wszelkich praw, jakiemi zagwarantowane jest posiadanie spadkowe. Według tego dziedziczący mogliby nawet zabronić publikowania nowych edycyi dzieł odziedziczonych, niszczyć je, lub zmieniać. Pogląd ten jednak, któremu sprzeciwili się prawnicy fachowi, jakich nie mało liczył w swem gronie kongres, nie zdołał uzyskać większości. „Cobyście rzekli — zapytał zgromadzonych Edmund About, gdyby biskup Dupanloup był spadkobiercą Voltaire'a, i gdyby chciał skorzystać ze swych praw, w sposób, w jakiby niezawodnie skorzystał, gdyby mógł?“

Na podobne pytanie stronnicy własności bezwzględnej nie umieli na razie odpowiedzieć. I istotnie: możnaby być bardzo niepewnym o los np. Słowackiego, gdyby jego spadkobiercą był prof. Tarnowski. W tej sprawie praw spadkowych zabrał wreszcie głos sam Wiktor Hugo, prezes między-narodowego kongresu, *notre illustre maître*, jak go tu nazywają literaci. Wiktor Hugo zauważył, że własność literacka nie może być uważana na równi z każdą inną. Książkę pisze wprawdzie autor, ale wartość realną nadaje jej publiczność, tak więc wartość rozpada się między autorów i publiczność. Spadkobiercy zatem, dziedzicząc po autorze, nie mają prawa zabierać tego, co jest własnością publiki, całego wreszcie narodu. Należą im się odsetki — nie zaś książka; mogą dziedziczyć zyski, ale nie myśli autora, które stały się własnością ogółu.

Słuchano go uważnie, bo ilekroć głos zabiera ten starzec z głową białą, szlachetną i z pogodnem, utkwionem spojrzeniem, tyle razy możnaby usłyszeć przelatującą muchę. Wiktor Hugo skończył jak następuje: „Je crois que votre décision sera bonne. Je suis sur, que l'avenir appartient à la solution, que je vous ai proposé.“

Si vous ne l'acceptez pas, l'avenir est patient, il a le temps, il attendra.“

Jakoż istotnie propozycya starego mistrza, jeżeli zostanie przyjętą, to dopiero w przyszłości, kongres bowiem oklaskawszy jego mowę i postanowiwszy ją wydrukować, przyjął jednak rezolucyą przychylniejszą o wiele dla spraw spradkobierców, a raczej wprowadzającą w te prawa pewne zastrzeżenia, które wymienię, wyliczając wszystkie postanowienia kongresu.

Na kilka końcowych posiedzeń Wiktor Hugo nie przyszedł, wybrano więc zastępcę jego Turgieniewa. Ostatnie posiedzenie odbyło się na ulicy Cadet w sali Wielkiego Oryentu. Krzesło prezydujące zajął Turgieniew, koło niego zasiedli prezesi sekcyi narodowych.

Na tem zakończył się kongres literacki międzynarodowy w Paryżu. Na przyszły rok ma się on zebrać w Londynie, co będzie ze wszech miar rzeczą korzystną, strachliwi bowiem gryzipiórkowie francuscy, nie będą mogli przybyć nań tak licznie, a więc prócz większej swobody rozpraw, będzie na nim można roztrząsać sprawy w sposób więcej międzynarodowy, a mniej wyłącznie francuski. Obecny, paryski kongres, gdyby nie ostatnie posiedzenie zhańbione wtargnieniem gryzipiórków nie powstrzymywanych obecnością Wiktora Hugo, mógłby się uważać za dzieło wielkie i chwalebne, przeprowadził bowiem kilka uchwał pożytecznych i dał początek organicznym usiłowaniom, mającym na celu porozumiewanie się wzajemne literatów całego świata i pomoc wzajemną. Główne uchwały jego, wypowiedziane w formie postulatów, są następujące:

1) Prawo autora do napisanego przezeń dzieła nie jest ustępstwem ze strony ustaw, lecz jedną z form własności, którą prawodawca winien zapewnić.

2) Prawo autora, jego spadkobierców lub uwierzytelnionych jest wieczne.

3) Jednakże spadkobierca może być wyzutym ze swego prawa, jeśli przez lat 20 nie drukuje dzieła, którego jest właścicielem.

(Któż staje się wówczas właścicielem? P. R.)

---

1) Kongres żąda, aby każde dzieło literackie, naukowe, artystyczne i dramatyczne było traktowane w obcych krajach wedle praw przysługujących literatom miejscowym.

2) Dla zapewnienia tej opieki wystarczy, by autor spełnił formalności, obowiązujące miejscowych autorów.

3) Co do tłumaczeń i przeróbek kongres literacki międzynarodowy wyraża życzenie, by układy międzynarodowe zapewniły autorom wyłączne prawo upoważniania tłumaczy i przerabiających.

Kongres mniema, że:

1) Poprawa losu moralnego i materyalnego literatów wiąże się ściśle z rozwojem ogólnym społeczeństw, polega zaś na utworzeniu kas zaliczkowych i emerytalnych, przysługujących autorom.

2) Kongres życzy sobie, by kwestya kredytu literackiego weszła w program najbliższego kongresu międzynarodowego literackiego.

3) Kongres uważa, że projekt utworzenia związku międzynarodowego literackiego, którego zadaniem byłoby urządzenie stałych stosunków między literatami różnych narodów, wytworzenia komitetów, mających ułatwiać stosunki i założenie pisma, mającego obejmować przekłady klejnotów wszelkich literatur, zasługuje na szczegółowe zbadanie i obrady.

4) Kwestye literackie winny być traktowane odrębnie od kwestyi handlowych.

Nakoniec wniosek odrzucony obejmował trzy punkta brzmiące jak następuje:

1) Kongres literacki oświadcza się za swobodą myśli w znaczeniu najrozciąglejszem.

2) Kongres mniema, że autor, wprowadzając i rozprzestrzeniając utwory swoje, działa na swoją osobistą odpowiedzialność.

3) Kongres oświadcza, że wykroczenia prasowe winny być sądzone wedle prawa ogólnego.

Oczywiście wszystkie te wnioski, przez kongres uchwalone i przyjęte, nie mają znaczenia praw obowiązujących. Kongres nie składa się z prawodawców, mających moc zmieniania uchwał w rozporządzenia zastrzeżone karami, nie może również rozmaitym rządom postanowień swych narzucić. Natomiast może i obowiązuje swych członków, aby za pośrednictwem prasy wywierali wpływ tak na opinię publiczną, jak na ciała prawodawcze i dyplomacyą w kierunku z uchwałami kongresu zgodnym. Jest to droga legalna, a pewna, kto bowiem ma wpływ prasy, ten łatwo zrozumie, że gdy raz uwaga umysłów zostanie przez nią na prawa własności autorskiej zwrócona, wpływ ten nie omieszka odbić się i w prawodawstwie.

Rozumie się, że bieglejsi od literatów fachowi ustawodawcy mogą wnioski kongresu do pewnego stopnia ograniczyć, zmienić lub ująć w inne prawnicze określenia, nie pozostawiające pola do wykłaniy i nieporozumień. Kongres jednak, występując w obronie własności literackiej, dał zapewne początek całemu cyklowi nowych ustaw, których wprowadzenia jak najmocniej sobie życzyć należy.

Ale również, należy życzyć sobie jak najmocniej, żeby przyszły kongres składał się wyłącznie z ludzi kochających idee więcej niż pieniądze i nie cofających się wobec lichych i marnych względów — życzyć sobie należy, żeby w skład jego weszły umysły męskie, uczciwe i śmiałe, zdolne nawet do szlachetnych egzaltacyi i do bezwzględnego polotu ku celom, które raz uznane zostały za wyższe i ogólno-ludzkie.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

III.

Mówią, że Tycyan Tintoretta wypędził ze swojej pracowni. Jeżli to prawda trudno ten czyn Tycyana osądzić. Źle zrobił Tycyan, jeżeli sądził, że Tintoretto talentu nie posiadał; była to omyłka niepojęta u człowieka, co i sam tak malował i tylu miał utalentowanych uczniów, bo Tintoretto należy niezawodnie do największych talentów wydanych przez tak płodną Wenecyą. Jeżli Tycyan z zazdrości Tintoretta ze swej pracowni wypędził, uczynił jeszcze gorzej, a bardzo niedorzecznie i niepraktycznie. Nie mógł się mistrz tak wielki obawiać tego, by kto lepiej od niego malował, nie mógł oryginalności Tintoretta w ten sposób zniszczyć, a żył w tym samym czasie, w samejże Wenecyi *Pordenone*, którego technika w niczem Tycyanowej nie ustępowała. Najprawdopodobniej uczynił to Tycyan dlatego, że się nie mógł porozumieć co do pojęcia sztuki z uczniem swoim, że kochał się w klasycznej mierze i w radośnem weselu, gdy Tintoretto romantycznego niepokoju szukał, i że nie chwalił u ucznia popędu do zbyt niepomiernych koncepcyi. W takim razie stało się rozstanie ucznia z mistrzem koniecznością; nie wstrzymało jednak Tintoretta na obranej raz drodze, popchnęło go może w ramiona dziwacznego Pordenonego, i oddaliło go bardziej jeszcze od dróg, po których stąpał Tycyan wraz z całem właściwem odrodzeniem.

Pordenone żył w chwili najżywszego odblasku klasycznych wspomnień, nie zrozumiał czasu swego i przez czas swój nie został zrozumianym, żył myślą w średnich wiekach, dał się wkrótce zniechęcić, namalował mało, narobił wiele hałasu za życia, a po śmierci nie posiadał sławy. Bywa to los umysłów nadto oryginalnych płynących pod wodę wbrew dziejowemu prądowi. W akademii sztuk pięknych jest jego obraz wielkich rozmiarów, świetnej techniki, i nadzwyczaj silnego wykonania przedstawiający uczczenie baranka bożego, a więc przedmiot mistyczny leżący po za bitemi drogami weneckiej sztuki. Najbardziej uderza widza białe, chude, muszkularne ciało świętego Jana Chrzciciela, zgarbionego niespokojnie nad barankiem. Żebra wszystkie wyglądają z po za skóry i kość pacierzowa wystaje wyraziście. Twarz wołochata a dzika patrzy niespokojnie na widza. Prawdziwy to pustelnik średniowieczny, o jakim tu w Wenecyi chyba *Carpaccio* w piętnastym wieku marzył. Pod barankiem klęczy mnich, mniejszy od dzikiego olbrzyma Jana. I to postać wychudła od postu, zdziczała w ascezie, która się modli fanatycznie i bije się w piersi. W głębi stoją znowu dwa mnichy. Jeden jakąś kotarę podnosząc, zagląda w tył, a ma twarz zupełnie pospolitą, mnisią, drugi, zapewne Tomasz z Akwinu, w czarnej sukni i doktorskim birecie uczy niewiedzieć kogo, księgę nad piersią rozwarłszy. Chude podniósł palce i z poważną profesorską miną wykłada zasady teologii. I jego twarz wychudła ale rozumna, dumna i zarozumiała.

Jeżli chodziło o realistyczne, satyryczne może prawie, albo znów ślepo naiwne i fotograficzne odbicie owego średniowiecznego kościoła, co istnieć przestał, dopiął Pordenone swego celu.

Odmalował głowy charakterystyczne i rodzajowe, które jednak niepotrzebnie w około baranka bożego są ugrupowane. Tak musiał przynajmniej zawyrokować nabożny jeszcze wiek szesnasty, który zresztą nie bardzo pojmował, po co Pordenone tyle brzydkich choć wyrazistych twarzy na jednem płótnie nagromadził.

A jednak ów niezrozumiany Pordenone wpłynął niezawodnie na Tintoretta, cieszącego się tak niepomierną popularnością w Wenecyi. Boć to Tintoretto usunął najbardziej chropawe dążenia Pordenonego, i bo z drugiej strony i druga połowa szesnastego stulecia do syta napojona widokiem piękna klasycznego już za czem innem gonić zaczęła.

Już i same portrety Tintoretta odmienne są od portretów Tycyana. Nie maluje on już mitologicznych piękności i złocistych Wenecyan. Widać u niego postacie męskie prawie tylko. w czarnych sukiennych długich sukniach, czarnookie, śniade, najczęściej brzydkie, widocznie bardzo podobne i takie, jakie na ulicach Wenecyi spotykano, a najczęściej na portretach tych widać samego Tintoretta, który się w sobie lubował, i na sobie studya odbywał. Jest w Belwederze wiedeńskim obraz, na którym Tintoretto sam jeden trzy razy występuje, z frontu, z profilu i z dwu trzecich. Twarz to nic nie znacząca, z krótko ustrzyżonym włosem, czarnym i takąż brodą, ale Tintoretto nauczył się na niej niejednej rzeczy i nauczył się wreszcie malować dobrze, z taką szybkością, że mógł wreszcie wykonać swe niepomierne pomysły.

Gdzie się obrócisz w Wenecyi tam spotkasz obrazy tego mistrza. Cicerone ciągle ci mówi pokazując je: *„Questo é un quadre di Tintoretto“* — i słowo to wreszcie prześladuje cię w Wenecyi, radbyś się go pozbył. Z razu podziwiasz tę płodność niepomierną, a wreszcie znużony, przychodzisz do tego przekonania, że chodziło po pałacach, zakrystyach i refektarzach o to, by za pewne jużci niezbyt wielkim kosztem mieć obicia płócienne i kanwowe, na których Tintoretto nagie ciała lśniące od bursztynu, na burem niewyraźnem tle, w dziwacznych postaciach porozrzucał. I pewno mnichom, dożom i senatorom o to chodziło, i mało kto zadawał sobie tyle trudu, iżby się postaciom malowanym bliżej przyglądał i myśl mistrza odgadywał i pewno sam malarz powołany do ciągłego działania już i często niewiele wiedział co robił.

By jednak zobaczyć, czego Tintoretto jako artysta chciał, przyjrzymy się kilku sławniejszym obrazom i zobaczymy na nich, o ile się mistrz troszczył o tradycyą klasyczną odrodzenia, a ile od niej odbiegł, poznamy w czem się gust Wenecyi zmieniał.

Najsławniejszem, lubo nie najdoskonalszem technicznie dziełem Tintoretta jest raj w *Sala del Maggior Consilio* w pałacu Dożów w Wenecyi. Obraz ten, podobno największy na świecie, zakrywa całą ścianę nad miarę wielkiej sali i mieści w sobie nieprzejrzaną ilość postaci zanurzonych wśród szarych i białych chmur, jakby całą ludzkość bujającą w szarej przestrzeni. Niektóre postacie występują jasno na pierwszy plan, ale ogół karnacyi nadzwyczaj misternie zamroczony, jakby przez mgłę, powietrze i przestrzeń. Nie rozpatrzysz się w tych głów i postaci ogromnym tłumie, a choć się której przypatrzysz, nie zapamiętasz nigdy, w pamięci zostanie ci tłum tylko widziany jakby we śnie. I wszyscy ci przemienieni, nadzy albo w piękne czerwone i błękitne, choć dość niewyraźne draperye przyobleczeni, mają głowy o rysach klasycznych i klasycznym pokoju, podobne do siebie i nieosobiste. Tylko trzy postaci zostaną ci w pamięci. Chrystus, do połowy nagi, siedzący na chmurach, z krzyżem w ręku, na górnej części obrazu, bardzo spokojny, szlachetny i boski; Madonna, w tradycyjnym stroju i z tradycyjną twarzą pogrążona w modlitwie i święty Marek nagi prawie, u dołu, siedzący koło lwa, mąż potężny i piękny z ramieniem tak wyciągniętem, że wychodzi niby z obrazu, co może być dowodem, że Tintoretto nie dbał o techniczne trudności.

Obraz ten ma nastrój religijny, poważny i uroczysty i pełen pięknych postaci, ale jest chaotycznym w ogromie swoim, jakby senne widzenie, i strojne barwy mącą się w nim jakby we śnie, bo Tintoretto malował je wszystkie jednakowo, nie pokazując zkąd światło pochodzi, jakby jaki Florentczyk. Żadna głowa cię nie zatrzyma, żadna ni myśli ni uczucia nie pobudzi, patrzysz na obraz z tem samem uczuciem, z jakiem słuchasz dalekiego szumu wody. Tintoretto rad wracał do tego tęsknego tonu, do niego nastrajał koloryt, czyniąc stroje mniej barwnemi a karnacye bronzowemi prawie. Choć rysował poprawnie i energicznie, potężnych postaci nie tworzył, wyraz z lekka tylko naznaczał, nie chcąc mącić klasycznego pokoju rysów, a tylko kolorytem prawdziwym zresztą i silnym nadawał wszystkiemu ton ponury i pozór pokutniczy, zgodny najczęściej ze smutnym przedmiotem obranym przez niego.

W innej sali pałacu Dożów podziwiamy obraz wyjątkowo niewielki i koncepcyą jasny, a przedmiotem swoim zgodny z raz przyjętym tonem. Ciało Chrystusa nagie legło w pięknej a miękkiej pozie w objęciach dwu płaczących aniołów na tle burego nieba. Nagie ciało bursztynowe szczupłe, ale niezawodnie piękne idealnie legło w jakiejś niepokalanej śmierci, bo nie straciło ani spokoju na twarzy ani cudnej a bogatej lubo ciemnej karnacyi. Powieki spokojnie zamknięte, usta na w pół otwarte i wszystko zda się raczej o śnie ciężkim i spokojnym jak o śmierci mówić. Widać że Chrystus na czas jakiś tylko legł bez siły, a wnet zmartwychwstanie. Aniołowie mają wielkie czerwone i niebieskie skrzydła i takież falujące szaty. Twarze ich śniadej karnacyi szczupłe i mają z lekka orle nosy co je więcej do weneckiego typu jak do ideału zbliża. Wszystkie barwy ciemne i ton całości dziwnie intensywny i uroczysty, choć mroczny prawie i ponury.

Jeźliśmy w pałacu Dożów umarłego już Chrystusa oglądali, pójdziemy do *Scuola di San Rocco*, pysznego pałacu w stylu pełnego odrodzenia, by patrzyć na Chrystusa konającego. Znużeni mnóstwem ściennych olejnych malowideł tegoż mistrza wejdziemy do źle oświeconej izby, gdzie mistrz z umysłu wśród ciemności namalował głośne arcydzieła: „Ukrzyżowanie“. Z razu nie ujrzymy nic zgoła prócz ciemno malowanego płótna, wśród którego górne części zupełnie znikają w mroku. Powoli tylko rozpoznasz szczegóły tego, co się dzieje w owym passyjnym mroku. Na tle szarego nieba rozróżnisz krzyż i na krzyżu szare wśród nocy ciało Chrystusa, bardzo pięknego, co w wielkim spokoju zwisł na krzyżu ze spuszczoną głową, tak jakby nie cierpiał, jakby go nadprzyrodzona moc trzymała na rusztowaniu. U stóp jego mdleje Madonna podtrzymywana przez świętych, podobna do piękności Tycyanowych z kształtu, z bardzo szlachetnym wyrazem boleści, ale pogrążona w szarym mroku tak, że barw na niej nie rozróżnisz. W głębi widać krajobraz nocny i mnóstwo niewyraźnych postaci i krzyże łotrów, z których jeden dopiero za pomocą sznurów podnoszą, i pancernych, konnych, trybunów rzymskich wydających jakieś rozkazy. W całym obrazie tylko jedno błędne światełko jaśnieje nad głową Zbawiciela, zresztą wszystko jest wiernem, nawet archeologicznie wiernem oddaniem tego, co napisano w księgach nowego zakonu, jest noc, a wśród niej tłum ludzi i Chrystus niewinnie męczony a boski w męce swojej, raczej wywyższony jak przybity na krzyżu; i bolejące niewiasty, wszystko odmalowane jakby jaki wielki krajobraz nocny, wśród którego łatwo się gubią postacie, jakby jakiś nowożytny już a ponury pomysł, gdzie chodzi tylko o wywołanie ogólnego fantastycznego efektu, o rzucenie bladego światełka wśród nocy, pomysł, który z bliska oglądany dowodzi szlachetnym idealizmem postaci i wyrazów pojedyńczych, że został w szesnastym wieku namalowany.

Kochał się Tintoretto w tem żółtem świetle co wśród ciemności lśni, tem kosztowniejsze że samotne; łatwo je odnaleźć w niejednej koncepcyi mistrza, ale bywa ono najczęściej bursztynowem ciałem, widnem wśród ciemnych mas. Takie to ciała lśnią w raju pośród obłoków szarych, takie ciało Chrystusa spoczęło na ciemnych szatach aniołów, i takie ciało jest środkiem obrazu ogromnego, zawieszonego naprzeciw W niebowzięcia Tycyanowego w akademii sztuk pięknych. Mowa tu o cudzie świętego Marka.

Na wielkiem z lekka podłużnem płótnie widać mnóstwo postaci widzianych z tyłu po największej części. Stoją one pomiędzy nami i światłem zachodzącego słońca tak, że wydają nam się ciemnemi masami, na których linie i barwy ledwo widnieją. Chyba gdzieniegdzie widać górny brzeg białego zawoju oświecony ukośnym promieniem, który aż tu doszedł. Stroje tu wschodnie, o ile je rozróżnić można w tem niewyraźnem świetle, a sylwety postaci dobrze i szczęśliwie pochwycone, szczęśliwie oddają powszednie życie, a odbijają się o tło nieba i weneckiej architektury źle oświeconej podobnie jak i postacie. Wszystko tworzy masę czarną i niewyraźną, pozbawioną światła słońca i światła ludzkich twarzy. Wśród tej masy lśni promieniami zachodzącego słońca oświecone ciało nagie i twarz. której oczy widać. Jest to niby klejnot kosztowny, tem kosztowniejszy, że w ciemnej oprawie, niby cenne wśród nocy światło pochodni, które oko i duszę raduje.

Tu u spodu, we środku obrazu, leży na wznak mężczyzna nagi i śniady w pełni wieku, tak obrócony do nas, że głowa wprost nas zwrócona, i że ciało uchodzi w głąb obrazu pod prostym kątem od płótna. Widać tedy włosy i twarz, widać pierś silnie oświeconą, a nóg i innych przyległych części nie widać prawie. Ciało to odmalowane w nadzwyczaj zuchwałem skróceniu, rzeczywiście po mistrzowsku, nietylko światło w wielce efektowny sposób ześrodkowało, nietylko rozdzieliło cudnym słonecznym promieniem dwie ciemne masy obrazu, ale służyło jeszcze mistrzowi jako pole popisu. Dowiódł na niem Tintoretto, że nie ma trudności rysunku, którejby z łatwością nie pokonał, że nie ma skrócenia, któregoby igrając nie zwyciężył. A jeźli to poziome ciało za dowód nie starczy, podnieś tylko oczy a ujrzysz w górnej części obrazu śmielszą jeszcze brawurę. Jakaś ciemna masa spada tam z nieba, a gdy się jej bliżej przypatrzysz, dostrzeżesz, że to bro-

daty mężczyzna w klasycznej draperyi, zlatujący na dół z twarzą zwróconą ku ziemi, i ku stopom leżącej na dole postaci, a ze stopami zwróconemi wprost do nas. Massa to zacieniona, która prawdopodobnie samą tarczę słońca sobą zasłania, zuchwale w locie chwycona, a zuchwalej jeszcze skrócona.

Postać naga, leżąca na ziemi, jest to niewolnik niewinnie, gdzieś w Indyach, męczony, którego święty Marek zlatując z nieba cudem uwalnia. Twarz niewolnika, piękna zresztą, ale pospolita, z obojętnym wyrazem, a innych twarzy nie widać zgoła, bo nawet te nieliczne, które są z profilu zwrócone, tak zacienione, że ich nie widać. Po ruchach tylko znać pewne zadziwienie otoczenia. Świętego twarzy wcale nie znać; znać tylko jego pięty. (C. d. n.)

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

III.

Co wtorku Helena miała u siebie na obiedzie pana Rambaud i księdza Jouve. W pierwszych dniach wdowieństwa jej wdarli się do niej przemocą prawie i ze śmiałością przyjaźni sami wprosili się, chcąc raz na tydzień przynajmniej wyrwać ją z tej samotności, w jakiej żyła. Później obiady te wtorkowe weszły w zwyczaj. Jak tylko siódma wybiła, współbiesiadnicy zjawiali się zawsze, jakby z obowiązku i zawsze z tem samem uczuciem spokojnego zadowolenia.

Tego wtorku Helena, siedząc przy oknie, pracowała nad robótką jakąś, korzystając z ostatnich chwil dziennego światła i oczekując gości swoich. Całe dni spędzała tutaj w słodkim spokoju. Hałas miasta nie dochodził do wyżyn jej mieszkania. Lubiła swój wielki, cichy pokój; jego zbytek mieszczański, meble palisandrowe i niebieski aksamit obicia. Nie sama wybrała to mieszkanie; kiedy przyjaciele umieścili ją tutaj, przykrym jej był trochę w pierwszych tygodniach ten zbytek, na który pan Rambaud wysilił się, jako na urzeczywistnienie swego ideału sztuki i wygody, budząc podziwienie księdza, który wymówił się był od udziału w tej sprawie. Później jednak zupełnie szczęśliwą była tutaj, czuła w tem wszystkiem moc i prostotę, które w jej własnem gościły sercu. Ciężkie firanki, ciemne meble uspokajająco działały na nią. Jedyną rozrywką po długich godzinach pracy był obszerny widok Paryża, który roztaczał przed nią falujące morze swych dachów. Ze swego zacisznego kątka spoglądała na ten ogrom.

— Mamo, nie widzę już — rzekła Joanna, siedząca koło niej na niskiem krzesełku.

I opuściwszy robotę swą, patrzyła na Paryż; który zanurzał się w cienie. Zwykle bardzo była cicha. Matka gwałtem zmuszała ją do wyjścia; na wyraźny rozkaz doktora Bodin prowadziła ją codziennie na parę godzin do lasku bulońskiego. Była to jedyna przechadzka ich; w przeciągu ośmnastu miesięcy zaledwie parę razy były w Paryżu. Dziecko zdawało się być najweselsze w wielkim niebieskim pokoju. Helena musiała wyrzec się myśli uczenia jej muzyki. Słysząc katarynkę, grającą gdzieś nieopodal w jakiej cichej ulicy, zaczynała drżeć, i łzy napełniały jej oczy. Matce swej pomagała szyć dziecinną bieliznę dla ubogich księdza Jouve.

Zupełna noc nastąpiła, kiedy Rozalia weszła z lampą. Była wzburzona i ogromnie zajęta ostatecznem wykończeniem obiadu. Wtorkowy obiad był to jedyny w tygodniu wypadek, który poruszał dom cały.

— Ci panowie nie przyjdą chyba dziś wieczór — pani zapytała?

Helena spojrzała na zegar.

— Siódma za kwandrans, zaraz przyjdą.

Rozalia dostała się Helenie od księdza Jouve. Sam ją przywiózł z dworca Orleańskiego tegoż dnia, kiedy przyjechała do Paryża, tak że nie znała wcale miasta. Przysłał mu ją dawny kolega z seminaryum, proboszcz jednej ze wsi w Beauce. Rozalia małego była wzrostu, krótka, gruba, z twarzą okrągłą, okrąglejszą jeszcze pod wązkim czepkiem, który nosiła, z włosami czarnymi i twardymi, z nosem spłaszczonym i czerwonemi ustami. Celowała głównie w leguminach, bo wychowała się na plebanii, przy swojej matce chrzestnej, która była służącą u proboszcza.

— Ah! otoż pan Rambaud — zawołała — idąc otworzyć, zaczem zadzwoniono jeszcze.

Pan Rambaud, wysoki, barczysty mężczyzna, miał twarz szeroką jak notaryusz na prowincyi. Jego czterdzieści pięć lat wieku przyprószył już szron siwizny, ale niebieskie oczy zachowały swój wyraz zadziwienia, naiwności i słodyczy jak u dziecka.

— A! i ksiądz jest, wszyscy już są! — rzekła Rozalia — znowu otwierając drzwi.

Pan Rambaud, uścisnąwszy rękę Heleny, usiadł, milcząc i uśmiechając się tylko, jak człowiek, który jest u siebie; Joanna tymczasem rzuciła się na szyję księdzu.

— Dzień dobry, mój kochany! — rzekła.— Bardzo byłam słaba.

— Bardzo słaba! moja najdroższa!

Obydwaj zaniepokoili się, ksiądz szczególnie. Był to mały, suchy człowiek, z ogromną głową; w postaci swej nie miał nic, coby wdziękiem jakimkolwiek nazwać można było, a ubierał się też nie wiedzieć po jakiemu; usłyszawszy Joannę, oczy jego rozszerzyły się i napełniły wyrazem ogromnej tkliwości. Joanna zostawiła jedną rękę swą w jego dłoni, a drugą podała panu Rambaud. Obydwaj patrzyli na nią wzrokiem niespokojnym. Helena musiała opowiedzieć o paroksyzmie. Ksiądz o mało się nie pogniewał, że go nie zawiadomiono o tem. I rozpytywał: czy wszystko przeszło, czy dziecię zupełnie już zdrowe? Matka uśmiechała się.

— Kochacie ją więcej niż ja, zaniepokoilibyście mię w końcu. Nic, już nic jej nie jest, członki jeszcze bolą trochę, i głowa cięży... Ale wszystko to będziemy energicznie leczyć.

— Podano do stołu — oznajmiła służąca.

W sali jadalnej mahoniowe meble były: stół, bufet i ośm krzeseł. Rozalia zapuściła firanki z czerwonego rypsu. Biała porcelanowa lampa w obręczy z mosiędzu, zawieszona nad stołem, oświecała nakrycie jego, talerze symetrycznie rozstawione i zupę, z której para wznosiła się lekko. Co wtorku te same powtarzały się rozmowy. Ale tego dnia mówiono naturalni, o doktorze Deberle. Ksiądz Jouve bardzo go chwalił, chociaż doktor nie zaliczał się wcale do nabożnych. Mówił o nim jako o charakterze prawym i sercu miłosiernem, jako o dobrym ojcu i dobrym mężu, jednem słowem o człowieku, dającym z siebie przykład jak najlepszy. Co do pani Deberle, ta jest również bardzo dobrą osobą, pomimo trochę nazbyt żywego sposobu obejścia się, co zawdzięcza osobliwemu wychowaniu paryskiemu. Jednem słowem, bardzo miłe małżeństwo.

Przyjemnem to było Helenie; ona tak osądziła małżeństwo, i to co słyszała od księdza, zachęcało ją do dalszych stosunków, których z początku obawiała się trochę.

— Za nadto samotnie żyjesz — rzekł ksiądz.

— To pewna, potwierdził Rambaud.

Helena patrzyła na nich ze spokojnym uśmiechem, jak gdyby powiedzieć chciała, że towarzystwo ich wystarczało jej zupełnie, i że lęka się nowych znajomości. Jak tylko dziesiąta wybiła, ksiądz i brat jego wzięli za kapelusze. Joanna usnęła na fotelu. Pochylili się nad nią i potrzęśli głową z wyrazem zadowolenia, widząc jej spokojny sen.

— Do wtorku.

— Zapomniałem — szepnął ksiądz, zwracając po paru stopniach, z których już był zeszedł. Matka Fétu zasłabła. Powinnabyś ją odwiedzić.

— Pójdę jutro — odpowiedziała Helena.

Ksiądz chętnie ją posyłał do swoich chorych. Często rozmawiali z sobą po cichu i mieli zawsze jakieś wspólne interesa, w których porozumiewali się z sobą półsłówkami i o których nigdy nie mówili przy świadkach. Nazajutrz Helena wyszła sama; nie brała z sobą Joanny, od czasu jak dziecię drżało przez dni dwa po powrocie od sparaliżowanego starca, którego nawiedziła z matką. Przeszedłszy ulicę Vineuse, zwróciła się na ulicę Raynouard i weszła do pasażu Wód, czyli wązkiej, stromej uliczki, którą z wyżyn Passy dostać się można było schodami na wybrzeże; schody te, wciśnięte między mury sąsiednich ogrodów, dziwny przedstawiały widok. U stóp pochyłości tej w zrujnowanym domu matka Fétu zamieszkiwała izdebkę pod strychem, którą oświecało okrągłe okienko; nędzne łóżko, kulawy stół i dziurawe krzesło stanowiło całe jej umeblowanie.

— Ah, moja pani, moja dobra pani..., zaczęła jęczeć, widząc wchodzącą Helenę.

Matka Fetu leżała. Pomimo nędzy swej okrąglutka, jak gdyby opuchła i z twarzą pucołowatą, zdrętwiałemi rękami podciągała sukienny łachman, który ją okrywał. Miała oczka małe, bystre, głos płaczliwy i pokorę hałaśliwą, którą wyrażała potokiem słów.

— Oh! moja dobra pani, dziękuję!... Oj, oj! jakże cierpię! To tak, jak gdyby psy objadały mi bok... Oh! z pewnością, mam coś w brzuchu. Ot tu, widzisz pani. Na skórze nie znać, we środku boli... Oj, oj! od dwóch dni ból nie ustaje. Czy podobna, mój Boże! tak męczyć się... Oh, moja dobra pani, dziękuję! Nie zapominasz pani o nieszczęśliwych. Będziesz pani wynagrodzona, tak, będziesz wynagrodzona...

Helena usiadła. Potem, spostrzegając garnuszek z ziółkami na stole, nalała do filiżanki stojącej obok i podała ją chorej. Przy garnuszku była paczka z cukrem, dwie pomarańcze i inne słodycze.

— Odwiedzał cię już ktoś? — spytała.

— Tak, tak, jedna pani. Ale to nie mnie...

Mnie nie tego potrzeba. Ah! gdybym miała troszkę mięsa! Sąsiadka zrobiłaby rosół... Aj, aj! coraz mocniej boli. Na prawdę, zupełnie jak gdyby pies... Ah! gdybym miała trochę bulionu...

I pomimo bolu, bystremi oczami śledziła wszystkie ruchy Heleny, która szukała czegoś w kieszeni swojej. Kiedy ta nareszcie położyła na stole sztukę dziesięciofrankową, matka Fétu zaczęła jeszcze mocniej stękać, usiłując usiąść. Mocując się z sobą, wyciągnęła rękę; pieniądz znikł, a ona powtarzała wciąż:

— Mój Boże! znowu paroksyzm. Nie, już nie wytrzymam... Bóg ci to odda, moja dobra pani. Powiem mu, żeby oddał... Bo to widzi pani, strzyka mię po całem ciele... Ksiądz obiecał mi, że pani przyjdzie. Pani jedna tylko mnie robi, jak się należy. Kupię trochę mięsa... Otóż macie! ból przeskoczył do bioder. Pomóż mi pani, nie mogę już, nie mogę...

Chciała obrócić się. Helena zdjęła rękawiczki, podniosła ją jak mogła najlżej i położyła znowu. Kiedy tak nachylona była nad nią, drzwi się otworzyły, i doktor Deberle wszedł; spostrzegłszy go, tak się zadziwiła, że rumieniec okrył jej policzki. A więc i on oddawał wizyty, o których nie mówił?

— To pan doktor—wyjąkała stara.—Wszyscy jesteście bardzo dobrzy, niech was wszystkich Bóg wynagrodzi!

Doktor z daleka ukłonił się Helenie. Od chwili jak wszedł, matka Fétu nie tak mocno jęczała. Z cicha tylko piszcząc, wciąż stękała jak chore dziecię. Poznała natychmiast, że doktor i dobra pani znali się z sobą, i nie spuszczała ich z oka, z kolei spoglądając na oboje, a głucha praca domysłów kryła się w tysiącznych zmarszczkach jej twarzy. Doktor zadał kilka pytań, opukał prawy bok. Potem, obracając się do Heleny, która usiadła znowu — szepnął:

— Są to kolki wątrobowe. Za dni kilka przyjdzie do siebie.

I oddarłszy kartkę z pugilaresu swego, napisał na niej słów kilka. Poczem oddając to matce Fétu — rzekł:

— Każesz to zanieść do aptekarza na ulicy Passy i co dwie godziny będziesz brała łyżeczkę lekarstwa, które ci dadzą.

Znowu posypały się błogosławieństwa. Helena nie ruszyła się z miejsca. Doktor zdawał się ociągać z wyjściem, spoglądając na nią; oczy ich spotykały się ze sobą. Wreszcie ukłonił się i pierwszy wyszedł przez delikatność. Jeszcze nie zeszedł z piętra, a już matka Fétu poczęła jęczeć znowu.

— Ah! co za poczciwy doktor!... Żebyż to jego lekarstwo pomogło mi trochę! Szkoda, że nie zrobiłam maści z łoju i brodawnika, co zabiera wodę z ciała... Ah! możesz się pani pochwalić, że znasz poczciwego doktora! Może go nawet oddawna zna pani?... Boże! jakże mi się pić chce! Ogień mam we krwi... Żonaty, nieprawdaż? Zasługuje na to, by mieć dobrą żonę i ładne dzieci... O tak! przyjemnie to widzieć, że dobrzy ludzie znają się pomiędzy sobą.

Helena wstała i podała jej pić.

— A więc! dowidzenia, matko Fétu — rzekła. — Do jutra.

— Tak, tak!... Jakżeś pani dobra!... Gdybym tylko troszkę bielizny miała! Spojrz na moją koszulę, w kawałki już poszła. Leżę na barłogu... To nic, dobry Bóg wszystko to ci wynagrodzi.

Nazajutrz, kiedy Helena przyszła; doktor Deberle był już u matki Fétu. Siedząc na krześle, pisał receptę, a stara kobieta mówiła jak zwykle płynnie i płaczliwie zarazem.

— Teraz, panie, to tak jak gdyby ołów... Z pewnością jest ołów w tym boku. Waży to sto funtów, nie mogę się obrócić.

Spostrzegłszy Helenę, szybciej jeszcze mówić zaczęła.

— Ah! to dobra pani... A mówiłam temu kochanemu panu: przyjdzie pani, chociażby niebo się zawaliło, przyjdzie... Prawdziwie święta, anioł z nieba, i piękna, tak piękna, że klękać przed nią... Moja dobra pani, nie lepiej mi. Teraz mam tu ołów... Tak, opowiedziałam mu wszystko, coś dla mnie zrobiła. Sam cesarz nie zrobiłby więcej... Zły tylko człowiek mógłby panią nie kochać, bardzo zły...

Kiedy tak gadała, obracając głowę na poduszce, z oczkami na wpół przymkniętemi, doktor uśmiechał się do Heleny, która stała mocno zażenowana.

— Matko Fétu — rzekła — przyniosłam wam trochę bielizny...

— Dziękuję, dziękuję, pan Bóg to odda wam... To tak jak ten kochany pan, więcej on biednym ludziom robi dobrego, jak wszyscy ci, dla których to jest obowiązkiem. Nie wiesz pani, że opiekował się mną przez cztery miesiące; i lekarstwa, i bulion, i wino. Nie wielu bogatych jest jemu podobnych, tak dobrych dla każdego, jak on. To drugi anioł znowu... Oj, oj! cały dom mam w brzuchu...

Z kolei doktor zażenował się także. Powstał, chciał krzesło swoje podać Helenie. Ale ta, chociaż przyszła z zamiarem przepędzenia jakiegoś kwadransa czasu — odmówiła mówiąc:

— Dziękuję panu, nie mam czasu.

Tymczasem matka Fétu, wciąż obracając głowę, wyciągnęła rękę, i paczka z bielizną zniknęła w głębi łóżka. — Potem mówiła dalej:

— O, tak! śmiało powiedzieć można, że dobrana z was para... Mówię tak, z przeproszeniem, bo to święta prawda... Kto widział jednego, widział drugą. Poczciwi ludzie rozumieją się... Mój Boże! proszę mi dać rękę, chcę obrócić się!... Tak, tak, rozumieją się...

— Do widzenia, matko Fétu — rzekła Helena, zostawiając miejsce doktorowi. — Zdaje mi się, że jutro nie będę.

Pomimo to jednak była znowu nazajutrz. Stara kobieta drzemała. Jak tylko obudziła się i poznała ją, całą w czerni, siedzącą na krześle— zawołała:

— Był tu... Doprawdy, nie wiem, co mi dał, ale tak jestem zdrętwiała jak jaki kij... Mówiliśmy o pani. Pytał się mnie o rozmaite rzeczy, czy zawsze pani smutna, czy zawsze tak samo wyglądasz... To taki dobry człowiek!

Mówiła powolniejszym głosem, jak gdyby upatrując na twarzy Heleny wrażenia, jakie te słowa sprawić miały; miała przytem wyraz pieszczoty i niepokoju, jaki miewają zwykle ubodzy, chcący przypodobać się ludziom. Zapewne, zdawało się jej, że na czole dobrej pani spostrzega chmurkę niezadowolenia, bo wielka jej twarz obrzękła i ożywiona zobojętniała nagle. Poczęła znowu mówić, jąkając się:

— Spię ciągle. Może jestem otruta... Na ulicy Annonciation aptekarz zabił kobietę, dając jej jedno lekarstwo zamiast drugiego.

Tego dnia Helena zabawiła z półgodziny u matki Fétu, która rozpowiadała jej o Normandyi, gdzie się urodziła i gdzie tak doskonałe było mleko.

— Czy oddawna znasz doktora? — zapytała od niechcenia po chwilowem milczeniu.

Stara kobieta, leżąca plecami, otworzyła na wpół powieki i znowu je przymknęła.

— O, tak, naturalnie! — odpowiedziała prawie po cichu. — Ojciec jego leczył mię przed 48, a ten zawsze z nim przychodził.

— Ojciec jego był to podobno święty człowiek.

— Tak, tak... Trochę roztargniony... Syn jeszcze lepszy od niego. Kiedy dotyka się do człowieka, to tak jak gdyby miał ręce aksamitne

Znowu nastało milczenie.

— Radzę wam, byście robili wszystko, co wam każe — przerwała Helena. — To bardzo uczony doktor, wyleczył córkę moję.

— Z pewnością! — zawołała matka Fétu, ożywiając się.— Można mu ufać, wskrzesił młodego chłopaczka, którego miano już wynosić... Oh! nie zaprzeczysz mi pani, że takiego drugiego nie ma na świecie. Mam szczęście, trafiam na najpoczciwszych ludzi... To też dziękuję Bogu codziennie. Bądź pani pewna, że nie zapominam o żadnym z was! W modlitwach moich znajdujecie się oboje... Niech was pan Bóg ma w swojej opiece i daje wam wszystko, czego tylko pragniecie! Niech łaska jego spłynie na was. Niech wam zgotuje miejsce w swoim raju!

Podniosła się i ze złożonemi rękami, z nadzwyczajną żarliwością zdawała się błagać nieba. Helena nie przeszkadzała jej i tylko uśmiechała się. Gadatliwa pokora staruchy ukołysała ją i jak gdyby łagodnie usypiała. Wychodząc, obiecała jej dać suknię i czepek w ten dzień, kiedy wstanie.

Przez cały tydzień Helena zajęta była matką Fétu. Weszło już we zwyczaj, że ją odwiedzała codziennie po południu. Szczególnie polubiła pasaż Wód. Stroma ta uliczka podobała się jej ze swej świeżości i ciszy, ze swego bruku zawsze czystego, bo obmywał go strumień, który w dni deszczowe spływał z wyżyny. Dziwnego doświadczała uczucia, patrząc z góry na stromą pochyłość pasażu, najczęściej pustego, znanego zaledwie niektórym mieszkańcom sąsiednich domów. Potem, wchodziła pod sklepienie domu, stojącego na brzegu ulicy Raynouard, i powoli spuszczała się z siedmiu piąter szerokich stopni, wzdłuż których spływał mały, kamienisty rynsztok, zajmujący z sobą połowę wąskiego przejścia. Na prawo i na lewo ciągnęły się mury ogrodów pokryte szarą pleśnią; po nad niemi zwieszały się gałęzie drzew, kaskady bujnych liści spływały, gdzie niegdzie bluszcz czepiał się muru i okrywał go zielonym płaszczem. Pod tem zielonem sklepieniem, w którem tu i ówdzie przeglądał błękit niebios, było zielonkawe światło przyćmione i bardzo łagodne. Doszedłszy do połowy schodów, zatrzymywała się dla odpoczynku, patrząc na latarnię zawieszoną tutaj, słuchając, jak śmiano się w ogrodach i po za drzwiami, które zawsze widziała zamknięte. Czasami spotykała tu staruszkę, co szła, opierając się o żelazny poręcz czarną i błyszczącą, przytwierdzoną do muru z prawej strony; czasem damę, co się opierała na parasolce, jak na kiju; czasem zgraję uliczników, którzy staczali się po schodach, uderzając o nie sandałami. Ale najczęściej była sama tylko, a wówczas schody te puste i ocienione, podobne do samotnej drogi w lesie, miały wielki dla niej urok. Znalazłszy się na dole, podnosiła oczy w górę. Patrząc na stromą pochyłość, po której zeszła, doznawała uczucia lekkiego przestrachu.

Do matki Fétu przynosiła z sobą świeżość i spokój pasażu wód. Dziura ta nędzy i cierpienia nie raziła już ją. Tu była jak u siebie; otwierała okienko dla odświeżenia powietrza, przestawiała stół, jeżeli jej zawadzał. Nagie ściany izdebki, pobielone wapnem, połamane meble przypominały jej, jak niegdyś będąc młodą dziewczyną, marzyła niekiedy o skromnem, prostem życiu. Wzruszenie, jakiego tu doznała, szczególnie ją zachwycało: rola siostry miłosierdzia, którą przyjęła na siebie, ciągłe skargi starej kobiety, wszystko co widziała i czuła koło siebie, napełniało ją niezmierną litością. Zaczęła wreszcie z widoczną niecierpliwością oczekiwać wizyty doktora Deberle. Rozpytywała go o stan matki Fétu; potem, stojąc naprzeciw siebie i patrząc sobie wprost w oczy, mówili o czemś innem. Rodzaj zażyłości utworzył się między nimi. Dziwili się, odkrywając w sobie wspólne gusta. Rozumieli się często, nie otworzywszy jeszcze ust; to samo uczucie miłosierdzia napełniało ich serca. I nie było nic milszego dla Heleny nad to uczucie sympatyi, które wiązało ich po za obrębem zwyczajnych stosunków, i któremu serce jej poruszone już litością, ulegało bez oporu. Z początku bała się doktora; w salonie byłaby zachowała chłód i nieufność wrodzoną sobie. Ale tu byli tak daleko od świata, mieli jedno tylko krzesło, a wszystko to, co ich otaczało, ubogie i brzydkie, rozczulając ich, zbliżało do siebie i czyniło szczęśliwymi. W końcu tygodnia znali się tak, jak gdyby żyli z sobą lata całe. Wspólna ich dobroć rozjaśniała smutną izdebkę matki Fétu.

Staruszka bardzo powoli przychodziła do zdrowia. Doktor dziwił się i utrzymywał, że pieści się, kiedy mu opowiadała, że teraz ma ołów w nogach. Wciąż stękała, leżała na wznak i obracała głowę, i zamykała oczy, jak gdyby chcąc im zostawić większą swobodę. Jednego dnia nawet zdawała się usypiać; ale z pod powiek małe jej, czarne oczka, pilnie ich śledziły. Nareszcie, musiała wstać. Nazajutrz, Helena przyniosła jej czepek i suknię, którą jej była obiecała. Jak tylko doktor wszedł, stara zawołała naraz:

— Boże! a toż sąsiadka mówiła mi, żebym zajrzała do jej rosołu!

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając ich samych. Z początku rozmawiali z sobą dalej, nie zwracając na to uwagi. Doktor namawiał Helenę, by czasem przychodziła po obiedzie do jego ogrodu na ulicy Vineuse.

— Moja żona ma oddać pani wizytę i ponowi moje zaproszenie... Zrobiłoby to wiele dobrego córce pani.

— Ale ja nie odmawiam; nie potrzebuję wcale, by mię z wielką ceremonią zapraszano. Tylko boję się narzucać... Wreszcie, zobaczymy.

Jeszcze rozmawiali. Nakoniec doktor zaczął się dziwić.

— Gdzież poszła u licha! Kwadrans temu wyszła popatrzeć na ten rosół.

Helena spostrzegła wówczas, że drzwi zamknięte. Nie dotknęło ją to na razie. Mówiła o pani Deberle, którą żywo chwaliła przed jej mężem. Ale nareszcie, kiedy doktor wciąż obracał głowę w stronę drzwi, uczuła się wówczas zakłopotaną.

— To dziwna rzecz, że nie wraca — szepnęła z kolei.

Rozmowa urwała się. Helena, nie wiedząc, co robić, otworzyła okienko; a kiedy się odwróciła, spojrzenia ich unikały się wzajemnie. Dziecinne śmiechy dolatywały przez okienko, które wysoko na niebie wykrawało okrągłą tarczę. Byli zupełnie sami, żadne oko dojrzeć ich nie mogło; tylko owa tarcza niebieska spoglądała na nich. Gdzieś w dali, dzieci umilkły; zupełna cisza zapanowała. Niktby ich tu nie szukał na tym strychu osamotnionym. Zakłopotanie ich zwiększało się. Helena, niezadowolniona z samej siebie, utkwiła oczy w doktora.

— Mam mnóstwo wizyt — rzekł natychmiast. — Ponieważ nie wraca, wychodzę.

I wyszedł. Helena usiadła. Matka Fétu w tejże chwili nadeszła.

— Nie mogłam się dowlec, słabo mi się zrobiło... A więc wyszedł ten kochany pan? Naturalnie, niewygodnie tutaj. Oboje jesteście aniołami, że z tak nieszczęśliwą jak ja, przepędzacie czas. Ale dobry Bóg wynagrodzi wam to wszystko... Dzisiaj przeszło mi znowu do nóg. Musiałam usiąść na stopniach. I nie wiedziałam, bo tak tu cicho było... Wreszcie, chciałabym parę krzeseł. Gdybym miała fotel!... Materac mam bardzo niegodziwy. Wstydzę się, jak przychodzicie... Cały dom do was należy, a ja poszłabym w ogień, gdyby tego trzeba było. Wie o tem dobry Bóg, mówię mu to często... O mój Boże! daj, by się spełniły wszystkie życzenia dobrej pani i dobrego pana. W imię Ojca, i Syna i Ducha świętego. Amen!

Helena, słuchając ją, czuła się szczególnie zakłopotana. Obrzękła twarz matki Fétu niepokoiła ją. Nigdy jeszcze dotąd w ciasnej tej izdebce nie doznała tak przykrego uczucia. Teraz dopiero spostrzegała jej brudne ubóstwo; brak powietrza i rozmaite niedostatki nędzy sprawiały jej teraz rzeczywiste cierpienie. Spieszno jej było ztąd odejść, by nie słyszeć błogosławieństw, któremi matka Fétu obsypywała ją, a które ją raziły dzisiaj.

Inna jeszcze przykrość spotkała ją w pasażu Wód. Na środku pasażu, w murze, na prawo, było pewnego rodzaju wydrążenie, może jakaś dawna studnia, zamknięta kratą. Od dwóch dni, przechodząc tędy, słyszała z głębi tej dziury miauczenie kota. Kiedy wchodziła teraz do pasażu, miauczenie znowu się rozpoczęło i to tak żałośne, jak gdyby wyrażało konanie. Serce jej ścisnęło się na myśl, że biedne zwierzę, do studni wrzucone, od dawna umiera tam z głodu. Przyspieszyła kroku i pomyślała sobie, że nie prędko będzie miała odwagę iść schodami temi, bojąc się usłyszeć znowu to śmiertelne miauczenie.

Był to wtorek. Wieczorem, o siódmej właśnie kiedy Helena kończyła kaftaniczek dziecinny, zadzwoniono dwa razy, jak zwykle, i Rozalia poszła otworzyć drzwi, mówiąc:

— To ksiądz przychodzi pierwszy dzisiaj... Ah! otóż i pan Rambaud.

Obiad bardzo był wesoły. Joanna miała się jeszcze lepiej, i dwaj bracia uprosili matkę, by pozwoliła jej zjeść trochę sałaty, którą niezmiernie lubiła, pomimo wyraźnego zakazu doktora Bodin. Wychodząc z jadalnego pokoju, dziecko ośmielone zarzuciło ręce na szyję matki, szepcząc:

— Proszę cię, mateczko, weź mię jutro z sobą do starej kobiety.

Ale ksiądz i pan Rambaud pierwsi zaczęli perswadować. Nie można było prowadzić jej do nieszczęśliwych, bo nie umie zachować się u nich jak należy. Ostatnią razą zemdlała dwa razy, i w ciągu dni trzech, nawet we śnie, z nabrzmiałych jej oczu łzy się toczyły.

— Nie, nie — powtarzała — nie będę płakała, przyrzekam.

Matka ucałowała ją i rzekła:

— Nie potrzeba już, kochanko, stara kobieta lepiej się ma... Nie wyjdę już, będę z tobą dzień cały.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Listy z Peru i Boliwii, skreślił Władysław Kluger. Wydanie drugie. Kraków 1878).

Autor listów należy do owej garstki rozbitków z r. 1863, co pojechała szukać szczęścia na zachodnim brzegu południowej Ameryki i dzięki swej energii i technicznemu ukształceniu zajęła zaszczytne stanowiska wśród skłonnej do próżniactwa rasy hiszpańskiej. I tak w samem Peru znajdujemy inżyniera Ernesta Malinowskiego, który zbudował kolej przez Kordyliery, najwyższą na świecie, bo wznoszącą się począwszy od morza na wysokość równą szczytowi najwyższej góry europejskiej Montblanc, dalej Edwarda Habicha twórcę i dyrektora mającej się zawiązać w Limie szkoły inżynierów, która będzie pierwszą w południowej Ameryce; dalej Władysława Folkierskiego, także inżyniera i dziekana Wydziału nauk matematycznych, fizycznych i naturalnych w uniwersytecie limeńskim; Konstantego Jelskiego, znakomitego naturalistę, badającego faunę peruwiańską; nareszcie, pomijając innych, autora listów z Peruwii i Boliwii, pana Władysława Klugera, który jest inżynierem rządowym w Peru i ma zostać (może już został) profesorem szkoły inżynierów w Limie.

Pan Kluger, jako urzędnik rzeczypospolitej peruwiańskiej, jako jej obywatel od kilku lat już tam osiadły, a z urzędu swego zmuszony przejeżdżać ją w różnych kierunkach, miał lepszą sposobność poznania tej dalekiej krainy, jej przyrody, ludzi i zwyczajów, niż pierwszy lepszy podróżnik, co miesiąc zabawiwszy w jakimś kraju, już jest pewny, że poznał go dokładnie i że ma prawo do wydawania stanowczych sądów o nim. Dlatego można było spodziewać się, że listy p. Klugera dadzą nam, obok obrazów z natury, obszerny i dokładny obraz stosunków społecznych, obyczajowych i politycznych Peru i Boliwii.

Niestety! listy pana Klugera tworzą książeczkę w małem octavo o 112 stronnicach, i każdy łatwo pojmie, o ile pełny w takich ramach można dać obraz życia dwóch krajów tak oryginalnych pod względem kultury i natury. Pan Kluger przytem nadzwyczajnie jest zajęty inżynieryą i swemi robotami inżynierskiemi, czego mu jako technikowi bynajmniej za złe brać nie można, ale co szkodzi książce, przeznaczonej dla publiczności, którą przedewszystkiem pierwiastek malowniczy i etnograficzny zajmuje. Potrzeba jednak przyznać, że i w opisach swoich robót inżynierskich bywa czasem p. Kluger zajmującym, jak n. p. w opisie swego życia koczującego na płaskim szczycie Andów, dokąd był wysłany dla robót hydraulicznych. Za to o życiu różnorodnych mieszkańców dwóch republik niezbyt wiele nowych szczegółów można się ztąd dowiedzieć.

Wogóle książeczkę tę potrzeba uważać tylko za próbkę zdolności podróżopisarskich p. Klugera. Próbka jest niezła i powinnaby zachęcić autora do obszerniejszej pracy w tym kierunku. Szkoda tylko, że autor zbyt pompatycznie przemawia o tej próbce w przedmowie do czytelnika. Z tej przedmowy dowiadujemy się naprzód, że p. Klu-

ger „dogadza ogólnemu życzeniu“ i „przystaje na świeże ogłoszenie“ swoich listów. Po tym akcie łaski wylicza autor dalsze swoje dobrodziejstwa:

„W niniejszem wydaniu dodaję nietylko wiele szczegółów do poprzednich mych „Listów“, ale nadto pomnażam je nowemi listami z licznych mych ekspedycyi, przedsiębranych po Boliwii i Peruwii“.

Czyż można się z tych słów domyślić, że tu jest mowa o broszurce ze 112 stronniczek, a nie przynajmniej o jakiemś dwutomowem dziele?

J. T.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 18. lipca.

W tych czasach mamy wiele powodów do niezadowolnienia we Lwowie: aura nie dopisuje festynom, marnując tyle zachodów i kosztów na urządzenie takowych, Rossi nie chce do nas przyjechać, kongres nasze memoryały i exposé nie wiadomo nawet czy schował do kieszeni, wreszcie Jego Sułtańska Mość Szach perski nie raczył otworzyć na dworcu kolei swojej szkatułki z imperyałami.

Przyznacie czytelnicy, że syn słońca niegodziwie sobie z nami postąpił. Liczyliśmy z pewnością na kilka szali kaszemirskich, na kilkanaście gwiazd lwa i słońca, a skończyło się, że przeniósł Brody nad Lwów i tam kosztem rządu zapewne spożył perskie śniadanie.... A ciekawość publiczna pod względem tego jedzenia musiała być niezmiernie naprężona, jeżeli stróż z kamienicy gdzie mieszkam, przez cały tydzień zapewniał przekupkę, że tak jak Węgry swoją papryką — podobnie i Persy wszystkie potrawy swoje posypują znanym powszechnie proszkiem noszącym ich nazwisko....

Niech mu więc Allah nie pamięta tej krzywdy, jaką nam w ogóle wyrządził, tembardziej, że imperyały jego zdałyby się Galicyi i biedzie naszej, nad którą już dwa lata medytuje komisya Sejmowa, aby dojść zkąd ona tu przywędrowała i jakimby sposobem można ją odtransportować na miejsce urodzenia.

Jaka to szkoda, że kronikarzy dziennikarskich nie zapraszają do grona mężów radzących nad temi sprawami! Ja naprzykład gdyby mię zapytano o moją opinię w tym względzie, jednem cięciem kronikarskiego pióra, niby szablą macedońskiego Aleksandra, rozciąłbym tę galicyjską plikę zwaną kwestyą zubożenia. Zbiednieliśmy, bo zamiast oszczędzać wydajemy więcej niż mamy. Nie oszczędzamy, bo nie mamy z czego. A dla czego nie mamy z czego, hę? — bo mało zarabiamy, czyli innemi słowy mówiąc mało pracujemy. Wyszedłszy z tego założenia, rezultat mojej rady byłby taki, iż odłożywszy na bok wszelkie faramuszki wielko-pańskie, wielko-światowe i wielko-polityczne, trzeba zakasać rękawy i wziąć się na seryo do roboty, jak i gdzie kto może. Zamiast nieustannie myśleć gdzie i od kogo pożyczać, praktyczniej byłoby zastanowić się nad tem jak i zkąd oddać co się winno, a uregulowawszy swoje interesa w porządny sposób, zacząć składać na zapas.

Może tego rodzaju pogląd kronikarski wyda się nieco dziwnym fachowym ekonomistom i z pojęciami postępowania niezgodnym, jednak o ile wiem, wszyscy praktyczni ludzie tak robią, kiedy chcą czegoś się dochrapać.

Mówcie co chcecie, moi panowie, lecz praca jest najgłówniejszą osią koło której obraca się wszelkie życie narodowe, jego znaczenie na zewnątrz i wewnątrz, tyle dziś nieodłączne od jego dobrobytu. Dla tego zadaniem każdej ankiety w tym rodzaju musi być przedewszystkiem wyuczenie ludzi pracy, następnie wyszukanie dla kraju i stosunków miejscowych odpowiedniego zajęcia, a wreszcie zapewnienie tej pracy skutecznego odbytu. Na dalszym dopiero planie wystąpić mogą środki ułatwienia tej pracy z pomocą utworzenia kas zaliczkowych o niskim procencie. Jak rzeczy dziś stoją, tani i łatwy kredyt nie sprowadzi spodziewanego dobrobytu, czego mamy namacalny przykład w działalności Banku włościańskiego, który zamiast pomódz, mimo woli i chęci zrujnował swoich klientów. Dla naszego nieoświeconego ludu łatwy kredyt jest tem samem, co tania wódka w karczmie: pije ją coraz więcej dla tego, że tania.... i nie myśli, co dalej zrobi się z jego głową.

W takim stanie rzeczy, komisya debatująca nad zaradzeniem ogólnej biedzie, oddałaby prawdziwą przysługę krajowi, biorąc wraz z Izbami handlowemi inicyatywę do założenia filantropijnego stowarzyszenia Opieki nad pracą krajową. Tego rodzaju instytucye przyjaciół dobrej sprawy nie są żadnemi mrzonkami, jeżeli widzimy jak Towarzystwo opieki nad małoletnimi przestępcami w Królestwie Polskiem, świetnie przeprowadziło swoje filantropijne zadanie i bez pomocy Rządu urzadziło osady rolne ze składek publicznych. W tym kierunku i w duchu tej zasady podjął ksiądz Stojałowski myśl utworzenia we Lwowie bursy dla młodzieży wiejskiej, któraby wyuczywszy się tu rozmaitych rzemiosł, naukę swą rozniosła później po całym kraju. Jako początek działań przyszłego Towarzystwa opieki nad pracą krajową, uważamy pomysł księdza Stojałowskiego za trafny. Doszliśmy do czasu, gdzie trzeba coś zacząć, aby te massy naszego ludu wprowadzić na drogę poczucia się obywatelami kraju i Polakami. To doda nam siły niezwykłej i spowoduje, że stać się możemy potrzebni w społeczeństwie europejskiem i że z nami w każdym razie liczyć się potrzeba będzie jako z narodem żyjącym.

I ankieta naftowa w tych dniach odbywając narady sformułowała wreszcie swoje zadanie. Przemysł naftowy, mający już dzisiaj racyą bytu w Galicyi, potrzebuje na gwałt uporządkowania, aby dalej mógł się rozwijać. Uradzono zatem poddać go nadzorowi specyalnej władzy przez zaprowadzenie inspektoratu, któryby na wzór Starostwa górniczego regulował prawa exploatacyi, prawa własności i przywileje przedsiębiorców. Sprawa ta będzie wniesiona na najbliższym sejmie krajowym i spodziewać się należy, że znajdzie dostateczne poparcie, aby uzyskać sankcyę dla odpowiedniej ustawy.

Popisy uczniów Zakładu głuchoniemych i ociemniałych odbyły się uroczyście w obec licznie zebranej publiczności. Powszechna opinia tych, którzy widzieli zadziwiające rezultaty działalności szkoły, jest bardzo dla nich pochlebną. Dzieci pokrzywdzone przez naturę, zostają powrócone społeczeństwu, dzięki niezmordowanej pracy i dobrej woli grona nauczycieli kierujących tą instytucyą. Widzieliśmy roboty ciemnych, słyszeliśmy ich śpiewy i muzykę, więc tylko oddać musimy hołd zasłudze tych, którzy opiekując się tym dobroczynnym zakładem udowodnili, że pomoc publiczna nie została tu zmarnowaną.

Ze spraw codziennego brukowego życia, nie wiele mamy w tym tygodniu do zanotowania. Teatr umilkł, festyny się nie udają, nowe Towarzystwo wzajemnej pomocy weteranów wojskowych zawiązało się z niemiecką mową — było parę kradzieży, jedno samobójstwo i jedno wzajemno-bójstwo c. k. gemeinow na Kisielce. Kto może, wyjeżdża ze Lwowa do wód, na wystawę do Paryża lub na wieś; panie się nudzą zajadając poziomki i maliny, których dzięki deszczom w tym roku nie brakuje. Z wyjazdem studentów na wakacye zmniejszył się nawet ruch na ulicach, dorożkarze cały dzień drzemią na kozłach a właściciele ogrodów narzekają, że piwa o połowę mniej wychodzi teraz, niż lat innych...

Ktoś, dla obudzenia jakiego takiego interesu między płcią piękną, zaproponował przesłanie na wystawę paryzką albumu piękności galicyjskich, podobnie jak to zrobił Franciszek Pulszky, prezes Akademii węgierskiej w Peszcie. Nie zła to myśl w tym wieku konkurencyi do wszystkiego, byle nie do panien. A nuż amatorowie pięknych twarzy rozpatrując na wystawie fotografie galicyanek, poczują żywsze bicie serca i zechcą poszukać tu samych oryginałów? Zabawna byłaby z tego historya, gdyby naprzykład jakiś dostojnik japoński zakochał się w pannie Małgorzacie, lub lord angielski w pannie Józefie.... Gotowi tu przyjechać, przez co ożywiłaby się nieco atmosfera zanudzonego Lwowa — kto wie, Anglicy lubią być oryginalni i mogą zagustować w pięknych Lwowiankach! Szanowne panie, każcie się fotografować.

Jako świeżutką nowość donoszę, że przy sypaniu kopca unii, który dzięki niezmordowanej pracy dr. Smolki obudza podziw ludzi fachowych nad jego gruntowną budową — odkryto przed wiekami zasypaną studnię. Ślady cembryny są najwyraźniejsze, znaleziono już korbę i wiele sprzętów żelaznych, a kto wie, czy się nie dojdzie do owych skarbów o których zachowaniu w tej studni podczas napadów nieprzyjacielskich wieść niesie. Daj Boże, kopiec stanąłby prędzej i archeologowie mieliby co do roboty.

* * *

Z dniem 1 lipca *Ruch literacki* zmienił właścicieli i redaktorów. Dwa ostatnie numera z miesiąca lipca dają nam możność do pewnego stopnia poznać dążności i kierunek nowej redakcyi i z prawdziwą przyjemnością notujemy, iż zmiana ta wyszła na dobre pismu, na pożytek krajowi. Nie możemy nie uznać najlepszych chęci dawnej redakcyi, gorliwości i poświęcenia nawet w pracach około podniesienia pisma, ale z tem wszystkiem *Ruch lit.* był tak dziwnym, wybór prac tak oryginalnym, a Redakcya pomimo to tak pewną siebie, że nie podobna było obojętnie patrzeć na to pismo. Nowa Redakcya zaniechała kaznodziejskiego tonu, zaczęła poruszać żywotne kwestye i zamanifestowała się zaraz w pierwszych numerach podniesieniem najnaglejszej sprawy przeprowadzenia oświaty ludu, czem dała dowód, iż pojmuje najżywotniejsze interesa krajowe i nie czczą gadaniną o patryotyzmie idealnym, ale wskazaniem realnego kierunku pracy narodowej zainaugurowała swoje wystąpienie. Na tej drodze szczęść Boże!

NASI NAFCIARZE.

Galicyjscy przemysłowcy naftowi to niby panienki cnotliwe, dbają o to nader troskliwie, ażeby świat o nich jak najmniej mówił. Raz tylko wychylili się ze swoich gór i lasów — w czasie zeszłorocznej wystawy krajowej we Lwowie. Byli wówczas tak łaskawi, że nietylko pokazali skarby swoje w ogrodzie Jabłonowskich, lecz nawet raczyli sami wystąpić osobiście na kongresie, który wprawdzie nie narobił tyle hałasu na świecie i tyle nieszczęścia, jak odbywający się obecnie w Berlinie kongres dyplomatów, lecz w Galicyi naszej biednej zrobił, jak to mówią *furore*... Wydział krajowy z kretesem zakochał się w nafcie od tego czasu, gdyż ciągle teraz zaprasza producentów jej na jakieś tajemnicze konferencye, spisał już o niej jak mówią wielką moc papieru, a nawet wysyła tego roku do kopalń umyślnie do tego wyznaczoną komisyą, w której skład wchodzi dwóch inżynierów fachowych i sam szef departamentu kultury krajowej. Namiestnictwo — chłodniejszej natury, nie dało się wprawdzie wyprowadzić ze zwyczajnego swojego spokoju olimpijskiego, czyli mówiąc terminem fachowym „nie straciło *Amtsminy*" pomimo, że i ono niepospolicie zaintrygowane zostało ciętą przymówką dr. Fedorowicza z Ropy koło Grybowa, który w sposób bardzo dosadny wyłuszczył, jak dalece karygodną jest obojętność świetnych i wysokich władz krajowych dla czarnej i cokolwiek nie salonowo woniejącej, lecz niemniej przeto interesującej kokiety, zwanej pospolicie *ropą naftową*. Nazywam ją kokietą; potrzeba ci bowiem wiedzieć szanowny czytelniku, że nie jednego z jej wielbicieli doprowadził już do zguby nierozważny afekt ku niej. Lecz za to wybrańców swoich darzy ona hojnie krociami, a nawet jeden z nich, snać „najukochańszy" pan Lindenbaum w Drohobyczu dorobił się na niej kilku milionów!..

A publiczność?... Publiczność nasza była zdumioną, gdy dowiedziała się ze sprawozdań z kongresu naftowego, iż Galicya posiada w nafciarzach dość bogatą jak na nasze stosunki klasę przemysłowców, rozsianą na 40milowej przestrzeni, o której mało kto co wie w kraju.

Później jeszcze raz była mowa o nafcie w szerszych kołach, mianowicie, gdy z powodu nieporozumienia o wysokość cła od nafty Austrya omal nie straciła ministerstwa ks. Auersperga. Zajście to jednak przeminęło jak wiadomo bez dalszych skutków, i do dziś cieszą się ludy Przedlitawii deficytodajnymi rządami ks. Auersperga.

Odtąd znowu cicho o nafcie i o nafciarzach. Chyba że od czasu do czasu wysoki Wydział krajowy dotrze do ich siedzib, ażeby sprowadzić ich na konferencyą fachową do bióra dra Wereszczyńskiego. A ponieważ właśnie w tych dniach znowu zbiera się w Wydziale krajowym ankieta naftowa, korzystam przeto z tej okazyi, ażeby osobiście zaznajomić czytelników naszych z najwybitniejszymi typami z tej klasy przemysłowców galicyjskich. Odwiedziłem ich przeszłego lata u nich w domu i może niejeden z nich będzie markotny na mnie, iż za łaskawą gościnność, którą nawiasowo powiedziawszy, na długo w miłej zachowam pamięci, odwdzięczam się w taki sposób że ich, jak mówią na prowincyi „do gazety wsadzę". Ale niech wybaczą: wilka ciągnie do lasu, a gazeciarza — do gazety...

Trzy są główne klasy przemysłowców naftowych: najpierw nafciarze-amatorowie; powtóre, właściciele gruntów, w których jest nafta lub wosk ziemny; a wreszcie prawdziwi przemysłowcy naftowi, którzy całkowicie poświęcają się pracy nad eksploatacyą kopalń.

Nafciarze, których nazwałem „amatorami", rzeczywiście bardzo mało zajmują się bezpośrednio przedsiębiorstwami naftowemi. Są to urzędnicy, kupcy, rękodzielnicy rozmaitych zawodów, księża, gospodarze rolni i td., którzy łączą się w liczniejsze spółki, zakupują teren w takiej okolicy, gdzie mogą spodziewać się istnienia źródeł ropy lub pokładów wosku ziemnego — i kopią na wspólny rachunek. Spekulacya taka ma bardzo wiele podobieństwa z grą na giełdzie, mianowicie z tem, co w żargonie giełdziarzy nazywa się „*Kostgeschäft*". Zwykle bowiem pierwotne wkładki są niewielkie, lecz gdy nie poszczęściło się z wyborem miejsca do kopania studni, to ciągle później potrzeba dopłacać na koszta głębokiego świdrowania, i gdy spekulacya źle była obliczoną, to zdarza się że nie można już wydobyć włożonego kapitału. Jeden spólnik po drugim, wyczerpawszy (niewielkie najczęściej) zasoby gotówki, daje za wygraną, i przeklina potem naftę przez całe życie. Ci zaś, którzy mają o czem przetrzymać pierwsze niepowodzenia, nabywają za byle co udziały występujących spólników i bardzo często zdarza się im, że natrafiwszy na źródło szybko przychodzą do majątków. Czasem znów spółka, przekopawszy swój kapitał, pozostawia studnią jako jałową, a tymczasem ktoś inny, nabywszy ją za bezcen, pogłębi trochę i dostanie ropę. A gdy się której spółce poszczęści, to zdarza się, iż włożywszy po kilkaset złr. kapitału, pobierają teraz uczestnicy *tysiące* guldenów rocznej renty. Inni znów mieli zamiar nie angażować się z większemi kwotami, nie chcąc jednak wyrzekać się początkowo włożonego kapitału, brnęli coraz głębiej, przedsiębiorstwo chłonęło tysiące za tysiącami, aż nareszcie wytrwałość zwyciężyła i mają teraz naftę, która obficie wynagradza wszystkie przebyte niepokoje i kłopoty. Obecnie tracą jednak podobne spółki naftowe dawny ryzykowny charakter, gdyż terytorya naftodajne są już po największej części znane i wypróbowane, tak że doświadczony nafciarz z góry obliczy z dość znacznem prawdopodobieństwem, ile potrzeba kapitału wkładowego na każdą studnię w tym lub owym terenie. Kosztowne doświadczenie o tyle też wydoskonaliło organizacyę spółek naftowych, że już teraz rzadko kiedy odważy się kto angażować tylko na jednę studnię — chyba na całkiem pewnych terenach, które są już z góry na spekulacyą powykupywane. W regule rozpoczynają teraz kopanie tylko takie spółki, których stać na rozpoczęcie przynajmniej dwóch albo trzech studzien, gdyż w takim razie zysk jest niezawodny, bo jeżeli tylko jedna studnia uda się, to wypłaci się ryzyko za wszystkie inne studnie. Ztąd też wynika, że o ile większym kapitałem rozporządza które przedsiębiorstwo, o tyle w odwrotnym stosunku zmniejsza się ryzyko. Podług obecnych cen terenu i robotnika można przyjąć, iż około 5000 złr. wypada liczyć przeciętnie kapitału wkładowego na jednę studnię, chociaż są i tacy, którzy na los szczęścia rozpoczynają kopanie z kilkuset guldenami — i udaje się im sztuka. Po kilku latach zostają panami; dobra kupują. Są jednak i takie studnie, które pochłonęły po kilkanaście do 20.000 złr.

Klasa nafciarzy amatorów jest najliczniejszą, gdyż należą do niej rzesze żydów, łapserdaków, którzy należą czasem do kilku spółek, a nigdzie nie mają więcej jak po kilkadziesiąt złr. kapitału, dalej znaczna liczba ludzi rozmaitych zawodów, którzy to przedsiębiorstwo traktują niby grę w loteryą lub coś podobnego, i nader liche mają wyobrażenia o istocie interesu naftowego, a wreszcie kapitaliści wytrawni, którzy jakkolwiek nie mogą poświęcać się wyłącznie eksploatacyi nafty, to umieją cenić należycie doniosłość tego przemysłu, i racyonalnie umieją z niego zyski ciągnąć. Oto np. marszałek krajowy hr. Ludwik Wodnicki należy także do współwłaścicieli nadzwyczaj zyskownej kopalni ropy w Harklowej koło Biecza.

Dziwić się jednak należy, że u nas nie ma więcej spółek naftowych, gdyż to, że mądrze pokierowane mogą one zapewnić zyski nadzwyczaj wysokie, o jakich nawet marzyć nie można w żadnem innem przedsiębiorstwie, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ogromne tereny, na których nafta jest niezawodnie, leżą u nas nietknięte, czekając na eksploatatorów. Kryją one w sobie olbrzymie skarby, lecz w naszym kraju nie ma snać amatorów na nie... Nawet mało kto wie coś o nafcie w okolicach więcej oddalonych od kopalń!

Drugą warstwę nafciarzy stanowią właściciele terenów naftodajnych. Ślepe szczęście zrobiło ich właścicielami skarbów, to też, jak to najczęściej dzieje się pomiędzy ludźmi, rzadko który z nich umie rozsądnie korzystać z tego przypadkowego powodzenia. Włościanie, szczególniej w tych miejscowościach, gdzie żydzi kopią, najczęściej niszczeją, dorwawszy się bogactw za odstąpione na studnie grunta, gdyż narażani bywają na rozliczne pokusy, a nie umieją dać sobie rady z pieniędzmi. Bardzo często zapijają się na śmierć, chociaż są pomiędzy nimi i tacy, którzy z godnością umieją używać majątków, które czasem dochodzą do kilkudziesięciu tysięcy złr. i więcej. Typem takich Krezusów w opończach są np. bracia Haluchowie w Siarach, którzy nader roztropnie umieją używać niespodziewanie spadłych na nich bogactw. Pan Karol Klobassa w Żręciwie koło Krosna, w którego lasach w Bóbrce założył w r. 1854 p. Ignacy Łukasiewicz najracyonalszą ze wszystkich galicyjskich kopalni nafty, jest dziś milionerem, a bogactwa jego są błogosławieństwem dla całej okolicy, gdyż używa ich prawdziwie po obywatelsku.

Nafciarzy z zawodu, t. j. takich, którzy całkowicie poświęcają się pracy około eksploatacyi nafty jest najmniej, lecz z bardzo nielicznymi wyjątkami wszyscy są zamożnymi ludźmi. Do bogactw nie mogli oni jednakże dojść li tylko przez ślepe szczęście, lecz koniecznym jest warunkiem u przedsiębiorcy takiego sprężystość i wytrwałość ogromna, bo kto nie posiada tych przymiotów, ten przekopie dużo pieniędzy i zejdzie na biedę. O ile miałem sposobność zapoznać się z historyą rozmaitych przedsiębiorstw naftowych, to najczęściej bankrutowali tylko zbyt gorączkowi przedsiębiorcy, a ci, którzy dorobili się majątków to główną ich cnotą jest — *żelazna wytrwałość*. Do tej klasy nafciarzy należą żydowscy właściciele kopalń, którzy w sposób nieludzki niszczą całą okoliczną ludność i których kopalnie są obrazem piekła na ziemi — ale i tu także należą właściciele kopalń, którzy czują się ludźmi pracy w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Wzrost ich bogactwa wzbogaca i uzacnia wszystkich ich współpracowników; są oni prawdziwymi dobroczyńcami oficyalistów swoich i robotników, za ich wpływem podnosi się dobrobyt i cywilizacya wszystkich warstw ludności w przyległych osadach. Do takich pięknych typów należy np. znany w szerokich kołach poseł sejmowy, p. Ignacy Łukasiewicz z Chorkówki, który dorobiwszy się żelazną pracowitością znacznego majątku, pracuje teraz z niestrudzoną, niewyczerpaną wytrwałością dla dobra powszechnego. Powiat krośnieński zaopatrzył on w drogi murowane, ciągle pracuje nad regulacyą rzek, osobiście opiekuje się drobnemi włościańskiemi kasami pożyczkowemi, tudzież powiatowem towarzystwem zaliczkowem w Krośnie, buduje szkoły, kościoły, mosty potężne, jest najpilniejszym członkiem szacunkowej komisyi katastralnej, jako referent spraw drogowych w wydziale powiatowym daje zaliczki na budowle drogowe z własnych funduszów, które dochodzą czasem do 10.000 złr. rocznie — jednem słowem nie ma takiej pracy *pro publico bono*, któraby dla niego była za żmudną lub za ciężką. O tem, ilu ludziom dopomógł on bądź to do wykształcenia, bądź do wydobycia się z przykrych stosunków dużo możnaby wpisać. Drugim podobnym typem jest dr. Mikołaj Fedorowicz w Ropie, niezawodnie najznakomitszy co do zdolności i wykształcenia naukowego ze wszystkich galicyjskich przemysłowców naftowych. Gdybyśmy więcej podobnych posiadali w kraju nafciarzy, to szybko podnosiłby się dobrobyt ogólny na całym podgórzu Karpat.

Teofil Merunowicz.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Andriolli w cichym swoim wiejskim zakątku pracuje z zapałem nad ilustrowaniem wielkich mistrzów słowa.

Wspaniałe kartony, zamówione przez firmę Gebetnera i Wolfa do „Starej Baśni" Kraszewskiego i do „Pamiętników kwestarza" Chodźki, za kilka miesięcy będą już zupełnie gotowe. Pierwszych będzie 24, drugich 12. Kartony do „Kwestarza" będą 1 i pół łokcia wysokie i 1 łokieć szerokie. Fotografie z nich zdjęte będą za granicą, prawdopodobnie albo w Paryżu albo w Monachium.

Rysownik nasz nie poprzestaje na „Starej Baśni" i „Kwestarzu." Niezależnie od nich przygotowuje nową kolekcyą kartonów do najznakomitszej naszej epopei narodowej — „Pana Tadeusza." Jakież tu rozległe pole do rozwinięcia orlich skrzydeł jego twórczości... Zosia (ale prawdziwa Zosia, a nie konwencyonalne naśladowanie Goethowskiej Lili), granie na rogu, Zajazd, Grzybobranie, gra Jankla na cymbałkach itd., wszystkie te wspaniałe postacie i epizody genialnego poematu Mickiewicza, które jak w czarodziejskim kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika, nadają się wybornie do ilustracyi. Nie wahamy się twierdzić, że „Pan Tadeusz" ilustrowany przez Andriolego będzie miał powodzenie,

jakiego dawno już żadne z wydawnictw polskich nie doznało.

Wszystkich kartonów do „Pana Tadeusza“ ma być 50. Do przedsiębiorstwa tego Andriolli poszukuje jeszcze nakładcy.

⁂ W konserwatoryum wiedeńskiem dwie pierwsze nagrody otrzymał w tym roku Polak pan Rudolf Krzyżanowski, za grę na skrzypcach i kompozycye.

⁂ Werner, dyrektor Akademii Sztuk pięknych w Berlinie, otrzymał zlecenie od municypalności wykonać obrazu przedstawiający kongres; za robotę ofiarowano 60 tysięcy marek.

⁂ Znakomity powieściopisarz A. E. Brachvogel, autor głośnych powieści „Narziss,“ „Friedemann Bach,“ „Der deutsche Michael,“ napisał powieść historyczną z dziejów pruskich pt. „Der Fels von Erz“ (Berlin, Otto Janke.) Między innemi przedstawione tu są agitacye i intrygi starosty Ludwika von Kalkheim na polskim dworze przeciwko Fryderykowi i Wilhelmowi i sprzysiężenie „jaszczurczego związku“ (Eidechsenbund), który nie chciał uledz potędze elektora Brandenburgii.

⁂ Dowiadujemy się, że wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego uchwalił przedstawić docenta prywatnego dra Tadeusza Browicza na zwyczajnego prof. anatomii patologicznej.

Przed kilkoma miesiącami katedrę tego przedmiotu proponowano dr. Władysławowi Brodowskiemu, prof. warszawskiego uniwersytetu, który dał odmowną odpowiedź na to zaproszenie. Katedra ta była poprzednio zajęta przez prof. Biesiadeckiego, który obecnie zajmuje posadę referenta lekarskiego przy Wydziale krajowym we Lwowie.

⁂ Znakomity geograf Elizeusz Reclus opisawszy zachodnią tudzież południową Europę, ogłasza, iż niedługo przystąpi do wydania geografii krajów Skandynawskich i Rossyi; należy się spodziewać, iż znajdzie tam obszerne uwzględnienie kraj nasz i nie wątpimy, iż na znakomitym autorze nie sprawdzi się anegdota o owym członku instytutu, który zapytany o Warszawę, nie wiedział, że leży nad Wisłą.

⁂ Profesor Nencki. O tym pierwszorzędnej dziś sławy rodaku naszym, który jako profesor chemii fizyologicznej w Bernie szwajcarskim i jako bardzo szczęśliwy eksperymentator zajmie kiedyś miejsce w historyi nauki, społeczeństwo nasze nic prawie nie wie. Pisma ilustrowane z większą skwapliwością zapisują na swoich szpaltach i uwieczniają ołówkiem efemeryczne... znakomitości sceniczne, aniżeli uczonych, przez których kraj nasz łączy się z Europą i z postępem. Więcej nas też obchodzą tryumfy pani Modrzejewskiej za Atlantykiem, niż sława ludzi, którzy do panteonu wiedzy ścisłej wnoszą z sobą polskie nazwiska. A jednak wiedza, to fundament *bytu*, a sztuka, zwłaszcza gdy kosztem innych kierunków zanadto wybujała, często bywa symptomatem rozkładu.

Na posiedzeniach biologicznych warszawskiego towarzystwa lekarskiego, odbywających się co miesiąc, dolatuje nas od czasu do czasu echo z krainy wiedzy ścisłej, a choć spółuczestnicy tych biesiad naukowych nie powodują się żadnemi innemi względami prócz zamiłowania umiejętności, jak być powinno, to jednak często słyszymy sprawozdania z bardzo ważnych odkryć i teoryj, dokonanych w nauce przez naszych rodaków. Świadczy o tem ogólne zdanie sprawy z tych posiedzeń za rok 1877, które dr. Edward Klink pomieszcza obecnie w czasopiśmie *Zdrowie* (nr. 13).

Ostatnie posiedzenie biologiczne towarzystwa odbyło się w zeszły wtorek d. 25. czerwca i dało nam poznać szereg ciekawych faktów z zakresu tajemniczej dotąd teoryi mechanizmu gnicia ciał białkowatych; faktów, wykrytych albo wprost przez Nenckiego, albo w jego pracowni przez innych chemików, którym Nencki udzielał wskazówek.

Sprawozdawca p. Wład. Leppert już w r. zeszłym zdawał sprawę z doświadczeń prof. Nenckiego nad gniciem ciał białkowatych przy współudziale trzustki, tą razą przeto powołał się na swój odczyt zeszłoroczny, uzupełniając go tylko przytoczeniem nowych spostrzeżeń. Najciekawszą atoli stroną ostatniego sprawozdania było spisanie doświadczeń, z których się pokazuje, że rozkład ciał białkowatych wobec fermentów ustrojowych jest jakościowo i ilościowo taki sam wobec powietrza jak i bez przystępu powietrza, tylko że w tym ostatnim razie jest o wiele powolniejszy.

Niemniej interesującem było podniesienie faktu, że Nencki stawia prawie nową teoryę mechanizmu gnicia białka, przypisując główną rolę w tem działaniu wodzie. Ferment, czy to ustrojowy czy nieustrojowy, jest potrzebny, ale główny udział w przemianach chemicznych, jakie tu następują, przyjmuje woda, i to rozkładając się nie tak jak dawniej sądzono na tlen i wodór, lecz na wodór i hydroksyl (HO). Działanie to jest znane w nauce pod nazwą hydrotacyi.

Nareszcie prawie dla wszystkich obecnych na posiedzeniu zupełnie było nowem to, co szanowny sprawozdawca mówił o „skatolu,“ ciele zupełnie dotąd nieznanem, wykrytem przez Briegera w kale ludzkim.

⁂ W tygodniku romansów i powieści rozpoczęto druk przekładu powieści „Hrabina de Charny“, napisanej przez Aleksandra Dumasa (ojca).

⁂ Donoszą z Krakowa, że wielki obraz „Bitwa pod Grunwaldem“ już w bieżącym miesiącu będzie przeniesiony do sali ratuszowej dla ostatecznego wykończenia; poczem, przed wysłaniem do Paryża na wystawę powszechną, zostanie dla publiczności w Krakowie już w końcu lipca na dni kilka tylko wystawiony.

⁂ Ulubiony twórca operet komicznych i walców, Jan Strauss, pracuje obecnie z gorączkowym zapałem nad trzema operetkami. Wykończa „Blinde Kuh,“ a jednocześnie komponuje operetę zamówioną przez dyrekcyę „Carltheater“ i drugą — niewiadomo dotąd przez kogo zamówioną.

⁂ Pomnikowa praca dra Karola Estreichera, bibliotekarza przy Uniwersytecie jagiellońskim i członka Akademii umiejętności w Krakowie, szybko zbliża się już ku końcowi. Mamy oto przed sobą zeszyt 1 tomu piątego „Bibliografii polskiej XIX stulecia“: obejmuje on spis dzieł tych autorów, których nazwiska zaczynają się od litery *W*, tudzież spis broszur lub utworów bezimiennych, w których główny wyraz od tejże litery się rozpoczyna. Spis ten w zeszycie 1ym dochodzi do nazwiska *Woronicz*. Jak poprzednio tak i teraz p. Estreicher podaje ważniejsze artykuły w czasopismach zawarte, co dla pracujących nad piśmiennictwem wielkie przynosi ułatwienie; zasługuje tu na uwagę wykaz artykułów w „Wandzie“, „Wieńcu“, „Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych“. Za rok będziemy już prawdopodobnie mieli całość „Bibliografii polskiej XIX stulecia“.

⁂ Mamy przed sobą prospekt pisma „Przyroda i Przemysł“, które po rocznem zawieszeniu na nowo wskrzeszonem zostało staraniem znanej firmy księgarskiej pp. Gebethner i Wolff. Redaktorem jest dr. K. Jurkiewicz, prof. warsz. uniw.

⁂ Historyę filozofii Stöckla przełożyli na polski język pp. Dziankowski i Paltyn i oddali dzieło do druku.

⁂ O ostatnich chwilach i śmierci ś. p. Władysława hr. Tarnowskiego podaje korespondent *Gazety Polskiej* z San-Francisko kilka zajmujących szczegółów. Przed rokiem niespełna wyruszył hr. Tarnowski w podróż naokoło świata; zwiedzał po kolei Egipt, potudniową Arabią, Indye wschofinie, Chiny i Japonią. W Jokohama wsiadł na parowiec amerykański, z zamiarem udania się do San-Francisco. Na chińskich wodach płynąc na francuskim okręcie, poznajomił się z doktorem okrętowym, z którym przez 4 dni rozmawiał po francusku; gdy naraz posłyszał go nucącego piosnkę polską:

> Dokądże to z ranną gwiazdką
> Jaskułeczka smutna leci?...

Tarnowski dośpiewał mu dwa drugie wiersze zwrotki, i tym sposobem poznali się, że są rodacy. Doktor nazywał się Redlich, a od lat 30 tułał się po obczyznie Ponieważ Tarnowski udawał się do Japonii, więc Redlich dał mu list rekomendacyjny do innego rodaka, Dybowskiego, który jest profesorem fizyki w Jeddo. Z obu tych znajomości śp. turysta nasz wielce był zadowolony, gdyż obaj ziomkowie okazywali mu wielką życzliwość, a Dybowski był mu bardzo pomocnym w dokładniejszem poznaniu Kraju Wschodzącego Słońca — jak Japończycy poetycznie nazywają swoją ojczyznę.

W Jokohama wsiadł na parostatek Tokio, który miał go przewieść do Kalifornii. Szesnastego kwietnia ostatni raz pisał w swoim dzienniku; książka już się kończyła, i ostatnie wyrazy napisane były: „Dzięki ci.“

Z opowiadań kapitana okrętu, doktora i pasażerów dowiedziano się następnych szczegółów: Ś. p. Tarnowski, był bardzo miłym i wesołym towarzyszem podróży. Każdodziennie grał po parę godzin na fortepianie, a często aż do znużenia, kiedy towarzystwo okrętowe o to prosiło. Wsiadłszy na okręt, uskarżał się przed doktorem na bole żołądka, z powodu dysenteryi, której nabył w Indyach wschodnich. Kiedy mu doktor chciał zapisać lekarstwo, powiedział, że ma swoje, bardzo skuteczne, gdyż mu prędko uśmierza bole. Lekarstwo to — chlorydyn, inaczej chloral — znane jest od lat kilku w Ameryce. Ma być bardzo skuteczne ale również niebezpieczne w zastosowaniu; niestosowna doza może spowodować śmierć nagłą.

Tarnowski miał zwyczaj spożywać pierwsze śniadanie w kajucie, w łóżku. Otóż, 19go kwietnia Chińczyk, służący okrętowy, przyniósł mu herbatę, postawił z tacką na stoliku przy łóżku i odszedł. W pół godziny przybył dla zabrania naczyń, lecz znalazł herbatę nietkniętą i ostygłą. Zabrał ją więc, aby zaraz przynieść świeżą; ale, gdy w pół godziny przyszedł znowu po naczynia, herbata była także nietkniętą, a Tarnowski leżał nieruchomy. Wówczas Chińczyk oznajmił o tem stewartowi, który zaraz nadbiegł z doktorem i obaj przekonali się, że pasażer już nie żył!

Nagła i niespodziewana śmierć hrabiego była powodem, że go nie wrzucono na dno Oceanu z przytwierdzoną do nóg kulą, jak się zwykle czyni ze zmarłymi na pełnem morzu; lecz dla zrobienia po przybyciu do portu obdukcyi sądowo-lekarskiej — starano się zakonserwować, nasycając kwasem karbolowym i składając do chińskiej trumny, odznaczającej się od naszych, nie tyle formą, jak, że bywa szczelnie zamkniętą.

Jakoż, podczas bytności naszej na okręcie, przybył konsul austryacki w San Francisco i coroner portowy. Ostatni, z urzędu swego, przepatrzył papiery nieboszczyka i otworzył dwa przygotowane i już zapieczętowane listy: jeden był do siostry lub bratowej, drugi zapewne do brata i zaczynał się od słów: „Kochany Stasiu!“ Polacy przetłumaczyli treść obu listów, a także notatek zmarłego, ale z tego wszystkiego żadnych przypuszczeń o samobójstwie nie można było wyprowadzić. Poczem konsul zabrał papiery, pieniądze — górą 1000 dolarów — i kosztowniejsze ruchomości śp Tarnowskiego dla przechowania.

Nazajutrz, przybyła na okręt komisya sądowo-lekarska, do której należał dr. Pawlicki. Otworzono trumnę: ciało uległo silnemu rozkładowi części, poddane badaniom chemicznym, nie okazały żadnych śladów trucizny. Zadecydowano więc, że powodem nagłej śmierci było nadużycie wspomnianego lekarstwa, którego dobrze napoczęta butelka pozostała.

Statystyka.

⁂ Królestwo Polskie od r. 1864 podzielone jest na 10 gubernii. Ludność w r. 1876 wynosiła:

Gub. Warszawska	856.241	mieszkańców.
„ Kaliska	713.284	„
„ Piotrkowska	767.505	„
„ Radomska	585.445	„
„ Kielecka	580.150	„
„ Lubelska	783.180	„
„ Siedlecka	575 149	„
„ Płocka	511.218	„
„ Łomżyńska	515.064	„
„ Suwalska	576.193	„
Miasto Warszawa	308.548	
Razem	6.771.967	„

Stowarzyszenia.

⁂ Walne zgromadzenie Towarzystwa ruskiego *Proświta* we Lwowie odbyło się 20 czerwca Towarz. to ma doniosłe znaczenie w rozwoju ruskiej narodowości, ponieważ wytknęło sobie za cel oświatę ludu ruskiego. W 10 latach swego istnienia wydało nad 250.000 egzemplarzy samych doborowych książek, i postarało się o wszystkie książki dla szkół średnich. Ze sprawozdań okazało się, że posiada w książkach i gotówce 43 312 złr. majątku i przyjęło w zeszłym roku 450 nowych członków. Znacznym kapitałem 12.000 złr. przyczynił się p. Władysław Fedorowicz do fun-

duszu zakładowego. Towarzystwo to kładąc podstawę literatury ruskiej, i łącząc w sobie kwiat narodowej inteligencyi ruskiej, podnosi samodzielność Rusi, i stawia zaporę dążności, chcącej Ruś przycisnąć do Moskwy.

*** Spółka „Haliny“ obradowała w zeszłą sobotę po południu na małej sali bazarowej w Poznaniu pod przewodnictwem prezesa, p. dr. Henryka Szumana i w obecności notaryusza p. Jażdżewskiego. Obrady zresztą krótkie, ponieważ Szkoła Zabikowska z braku funduszów, podobnie jak w roku zeszłym jest zamknięta. Bilans w dniu 31 grudnia r. z. przedstawia się, jak następuje:

Stan czynny.

Szkoła rolnicza . . .	53,795,15	m.
Kwilecki Potocki . .	974,55	„
Konta zysków i strat .	1,383,08	„
Konto kasy	00,42	„
Towarz. Centr. Gosp. .	2,391,80	„
Suma	58,545,00	m.

Stan bierny.

Kapitał akcyjny		
I. emisyi	49,725,00	m.
II. emisyi	5,040,00	„
Fundusz żelazny . . .	3,630,00	„
Konto różnych . . .	150,00	„
Suma	58,545,00	m.

Komisya, rewidująca książki kasowe, znalazła je w porządku, wskutek czego zgromadzenie udzieliło zarządowi pokwitowania. W końcu wybrano do rady nadzorczej w miejsce p. Łubieńskiego p. St. Kurnatowskiego z Pożarowa.

ROZMAITOŚCI.

*** Wynalazczy duch p. Edisona w Nowym Yorku, który już podobno wziął od rządu amerykańskiego około 100 patentów na konstruowane przez siebie przyrządy fizykalne, oparte zwłaszcza na zasadzie telefonu, charakteryzuje dziennik „The Wordl“ w następującej anegdocie: Na zabawie u pana Bachelor w Nowym Yorku, gdzie znajdowało się całe wykwintne towarzystwo miejscowe, pewna dama spytała genialnego wynalazcę, czy w liczbie rozmaitych jego wynalazków, z których jeden bardziej jest zdumiewającym niż drugi, nie ma jakiego systemu kołysania niemowląt sposobem automatycznym, ilekroć dziecko zacznie krzyczeć w nocy. „Pan nawet nie wyobrażasz sobie — mówiła troskliwa matka — jak to jest nieprzyjemnie i uciążliwie budzić się w nocy z powodu krzyków dziecka i wstawać z łóżka, ażeby je ukołysać. Niechby tylko pański system odpowiadał przeznaczeniu, a już mi wszystko jedno, czy nazwa jego będzie się kończyła na fon czy na graf.“ Pan Edison widocznie jest bardzo uprzejmym dla płci pięknej, przyrzekł bowiem zająć się tą sprawą. W kilka dni później, czyniąc zadość swej obietnicy, posłał też owej damie, nie lubiącej, żeby ją w nocy budzono, przyrząd bardzo oryginalny, za pomocą którego w istocie krzyk dziecka wprowadza w ruch kołyskę. W pobliżu tejże mianowicie umieszczony jest telefon. Ilekroć dziecko zapłacze, blaszka telefonu zaczyna drgać, a wywiązujący się ztąd prąd elektromagnetyczny, spotęgowany skutkiem dalszej kombinacyi, porusza stosownie urządzony mechanizm, który nadaje kołysce ruch powolny i prawidłowy. Gdy dziecko się uspokoi, a tem samem i drganie blaszki telefonu ustanie, mechanizm także przestaje działać i kołyska już się nie porusza. Tym więc sposobem dzięki p. Edisonowi piastunki i matki mogą wyręczać się telefonem i spać spokojnie.

*** Z okoliczności pogrzebu Jerzego V., króla hanowerskiego, zmarłego w Paryżu, przypomniano sobie, że od stu lat miasto to widziało pogrzeb jednej tylko głowy ukoronowanej, to jest Ludwika XVIII, zmarłego w r. 1824, a jednak w ciągu tego czasu Francya miała dziewięciu monarchów, faktycznych lub nominalnych, królów lub cesarzów.

*** Parlament japoński. Gazeta „Allg. Zeitung“ tak opisuje pierwszy parlament japoński, który się zebrał w tych czasach, w mieście Tokio. Parlament ten zresztą wcale nie jest podobny do tego rodzaju zgromadzeń w Europie, składa się bowiem wyłącznie z gubernatorów prowincyi. Czas trwania parlamentu wynosi 20 dni i winien rozstrzygnąć trzy następujące kwestye: 1. Rozgraniczenie prowincyi i okręgów; 2. redakcya ogólnego systemu reprezentacyi; 3. podatki. Innych przedmiotów nie wolno rozbierać na zgromadzeniu, zdaje się zatem, że zadaniem obecnego parlamentu jest wyłącznie ułożenie systemu organizacyi reprezentacyjnej na przyszłość. Podstawy tego prawa mniej więcej są takie: prawo wyborcze przysługuje wszystkim obywatelom, mającym nie mniej od 20 lat — wybranymi zaś mogą być osoby liczące 25 lat i posiadające majątek, z którego rocznie płacą 10 „junsów“ podatku.

*** Indowie na Malcie. Według doniesień z Malty, do dnia 16. bm. już wszystkie okręty z wojskiem indyjskiem, w liczbie 27, zawinęły były do portu La Valetty. Z wyjątkiem pułku tak zwanych „gurkasów,“ typ żołnierzy indyjskich we wszystkich innych pułkach ma być jeden i ten sam. Gurkasowie jednak mają cerę ciemniejszą niż Indowie, a twarz nawet prawie czarną, podczas gdy ci ostatni mają czerwonobrunatną barwę twarzy; dalej są Gurkasowie małego wzrostu, krępi, oczy mają małe, rysy grube i bez wyrazu, w ogólności podobni są do Japończyków, tylko że cerę mają znacznie ciemniejszą od tych ostatnich. Lubo termometr na Malcie wskazuje teraz najmniej 20 stopni Reaum., i wszyscy Europejczycy narzekają na skwar straszliwy, Indowie skarżą się ciągle, że im zimno, a wieczorem codziennie rozkładają przed swymi namiotami wielkie ognie, przy których się grzeją. Na obszernych błoniach ćwiczeń wojskowych fortu Manoel stoją dwa pułki indyjskie; otóż pewnego wieczora spostrzeżono na tym placu ogień, niezwykle duży. Na drugi dzień dopiero dowiedziano się, że Indowie spalili ciała dwóch zmarłych towarzyszy. Na przyszłość jednak wyznaczono im inne miejsce na ustawienie stosów pogrzebowych, ponieważ spalenie zwłok wśród ludnej okolicy wywołało reklamacye mieszkańców. Indowie zresztą umieli sobie zjednać wielką sympatyą wśród ludności wyspy. Nie masz prawie domu, przed którymby z wieczora zobaczyć nie można jednego lub dwóch Indów spokojnie gawędzących z mieszkańcami. Dzieci zwłaszcza przepadają za nimi, a częstokroć ujrzeć można na ulicy żołnierza indyjskiego otoczonego całą gromadą dziatwy. W ogólności wojownicy indyjscy posiadają wszystkie przymioty swego plemienia — wielką dobroć serca, łagodność i inteligencyą. W dni niedzielne w obozie ich gromadzi się cały dystyngowany świat wyspy, bawiąc się bardzo dobrze przy dźwiękach ich wybornych kapeli. Żołnierze częstują też gości hojnie swemi krajowymi przysmakami, mianowicie piernikami na oleju; mięsa Indowie nie jadają. Dotychczas zdarzyło się w obozie pułków indyjskich 57 wypadków cholery, lecz niebezpieczeństwo ciągle się zmniejsza:

*** Podróż milionów. Rząd węgierski przed kilkoma dniami odesłać miał domowi bankierskiemu Rothschildów w Paryżu, subskrybowane przez tegoż 21 milionów renty węgierskiej. W tym celu minister skarbu wydelegował osobną komisyą, w obecności której przesyłka została należycie opakowaną i ostemplowaną i która odwiezie ją sama aż na miejsce przeznaczenia. Do komisyi wchodzą: radzca ministeryalny Leeb, sekretarz ministeryalny Jankowicz oraz kancelista. Obligacye zapełniły ośm skrzyń, które razem z delegatami odbywać będą podróż z Pesztu do Paryża w osobnym wagonie salonowym. Program tej podróży milionów według *Naplo* jest następujący: W Wiedniu ekspedycya będzie przeniesioną do wagonu salonowego I. klasy kolei Elżbiety, którym odwieziona zostanie aż do Aricourt. Na tej stacyi delegaci z milionami przesiądą się do wagonu salonowego kolei francuskiej w którym pozostaną aż do Paryża, gdzie ich na dworcu oczekiwać będzie urzędnik banku Rothschilda z „ogniotrwałym“ i pewnym od złodziei powozem, którym zawiozą miliony do kasy banku. Klucz od tej kasy, nim suma zostanie przeliczoną, znajdować się będzie w ręku radzcy ministeryalnego W ciągu następnych dni miliony będą w właściwy sposób oddane zarządowi banku, który ostemplować musi obligacye stemplem francuskim. Zajmie to 10 do 12 dni czasu. Podróż z Pesztu do Paryża pociągiem pospiesznym trwać będzie 24(?) godzin, a przez cały ten czas nie wolno delegatom ani na chwilę opuszczać wagonu, nie wolno im też spać w ciągu całej podróży.

*** W szale zazdrości niedawno pewien sepoj, tj. żołnierz indyjski, w Hyderabadzie, zastrzelił swą kochankę, którą podejrzywał o zdradę, a następnie wziąwszy 100 ostrych nabojów do kieszeni wyszedł z koszar na miasto, ażeby zastrzelić każdego, kto mu w drogę wejdzie. W rzeczy samej sześć osób zabił a cztery ciężko ranił, nim oficer z okna swego mieszkania strzałem rewolwerowym położył go trupem.

*** O potwornej zbrodni, popełnionej niedawno przez tak zwanych czerńców, tj. mnichów w Ławrze kijowskiej, opowiadają dzienniki rosyjskie. Jeden z profesorów wszechnicy kijowskiej, odbywając z kilkoma uczniami przechadzkę po ogrodach zakonnych spostrzegł pomiędzy gałęziami drzewa powieszoną dziewczynę 13-letnią, której twarz już była zsiniałą, drgające ciało jednak dawało jeszcze znaki życia. Rzucono się natychmiast, ażeby odciąć nieszczęśliwą i przywrócić ją, jeśli można do życia, lecz za pierwszym ruchem studentów wypadła z zarośli liczna gromada czerńców, uzbrojona w kije, z wielkim krzykiem, odgrażając się, że nie pozwoli ludziom świeckim ratować dziewczyny, na której samo duchowieństwo wykonało przed chwilą wyrok śmierci. Wszczęła się tedy bójka zacięta pomiędzy mnichami a studentami, w której ostatni o tyle wzięli górę, że nieszczęśliwa ofiara została odcięta i odwieziona do pobliskiego szpitalu, gdzie ją przywrócono do życia. Z przeprowadzonego dotychczas śledztwa wstępnego wyszło na jaw, że mnichy spotkawszy 13-letnią córkę mieszczanina, Maryą Tymoszczeńko, zawlekli ją do ogrodu i po długiem szamotaniu powiesili jako „nieposłuszną władzy duchownej.“

*** O niezwyczajnym zjawisku donosi londyński *Globe*. Miasto Wirginia City, na terytoryum Newady w Ameryce, formalnie posuwa się z góry na dół bardzo spokojnie i bardzo powoli, ku wschodowi. Ruch ten przypisują zapadaniu się powyżej miasta jednej z licznych kopalni w tej okolicy. Chociaż całe miasto posuwa się z godną uwagi systematycznością, na powierzchni wszakże nie ma żadnych oznak, któreby kazały wnosić, że przyczyną zjawiska jest ruch podziemny. Dokładniej, niż mieszkańcy, mogły się o tem przekonać towarzystwa fabryki gazu i wodociągów, gdyż ruchomość gruntu na położenie rur oddziaływa dotkliwie. Na ulicach B. i C. zrobiono jakoby spostrzeżenie, iż grunt posuwa się w kierunku północnym i wschodnim. W pewnej fabryce, rury, skutkiem ruchu ziemi, znacznie zbliżyły się do siebie. Jak nadmieniliśmy, w środku miasta nie widać nigdzie szczelin; w południowej jednak części utworzyła się wielka i niepokojąca szpara. Hotel międzynarodowy od czasu swego założenia, wraz z innemi budynkami w tymże cyrkule, posunął się o 5 cali naprzód, ku wschodowi. Prócz wspomnianych towarzystw, dotychczas nikt z mieszkańców z powodu tego zjawiska nie został poszkodowany.

DWA OBRAZKI Z ŻYCIA.

I.

Parę tysięcy osób tłoczy się na jednej z ulic Paryża. Wszystkich oczy zwrócone w górę. Pootwierane okna zapełniają się ciekawemi. Na wierzchu omnibusów, ciągnących się szeregiem, podróżni stają na ławkach, pragnąc zobaczyć coś czy też dowiedzieć się czegoś. Wśród tłumu szmer coraz głośniejszy, zapytania krzyżują się na wszystkie strony. Policyanci, bardziej od wszystkich zdziwieni, przebiegają krzycząc na zatrzymujące się powozy i fiakry i wskazując im drogę w tym lub owym kierunku. Dzieci płaczą, matki przywołują je do siebie po imieniu, piastunki kryją się po sieniach, gdzie bezpieczeństwa swoich niemowląt. Zewsząd słychać przekleństwa, głośne wybuchy śmiechu i nawoływania; żarciki i dowcipy sypią się jak z rękawa.

— Cóż to się stało, na Boga! Czy mąż zazdrośny schwytał żonę na występnej schadzce z kochankiem? czy rzucił się kto z okna i teraz bezprzytomnego, zbroczonego krwią, odnoszą do najbliższej apteki?

W jednej gromadce opowiadają, że dwaj szewcy zakłuli się na śmierć szydłami. Parę kroków dalej mówią o trucicznie.

— Ja zawsze mówiłem, że musi się na tem skończyć! — wykrzykuje gap jakiś, który tylko co nadbiegł i nie wie o niczem.

— Czy sprowadzili komisarza policyi? — zapytują inni.

— Nie, to tylko wisielec — wyjaśnia ktoś z tłumu.

Tysiące zapytań i odpowiedzi tym podobnych.

— Cóż to się stało na Boga!

* * *

Co się stało? Oh! rzecz bardzo prosta. Spojrzyjcie w górę, na dach tego domu naprzeciw. Widzicie tam, tuż przy okienku poddaszowem, maleńki żółty punkcik ruchomy? Widzimy. Otóż ten punkcik powodem całej tej wrzawy. Ależ to ptaszek? Nieinaczej; właśnie zbiegły ten kanarek wprowadził w ruch te tłumy narodu.

Czy podobna? Tak jest, jeden kanarek używający wolności, stał się przyczyną zatamowania komunikacyi, zaniepokojenia mieszkańców, zwabienia na jedno miejsce tylu gapiów, rzeczywistym jednak sprawcą wszystkiego złego, jest mój przyjaciel, Juliusz V.

W kilku słowach rozwiążę wam tę zagadkę.

Przyjaciel mój, Juliusz V., szalenie zakochany jest w młodej pięknej panience, która ze swej strony nieobojętnem spogląda nań okiem, czego najlepszym dowodem, żeśmy wszystko troje zeszłej niedzieli zrobili wycieczkę do Villebon — ale, jest tu i sęk! Panna Cecylia ma wuja zazdrośnego na zabój, wuja jakich się już dzisiaj nie spotyka w świecie, jednem słowem wuja zakochanego w swojej siostrzenicy.

Wuj panny Cecylii, jakby żywcem wzięty typ z komedyi, utrzymuje handel ptaków przy ulicy... pst! nie róbmy mu reklamy.

Otóż, aby zobaczyć się z ukochaną, aby umówić z nią godzinę i miejsce schadzki, mój przyjaciel Juliusz V. zmuszony jest chodzić do tego zatwardziałego wuja.

Rozumie się, że bywa tam w charakterze amatora ptaków.

Aby nie być poznanym, chodzi bowiem dość często, przyjaciel mój Juliusz V. maluje się, farbuje, przyprawia wąsy i brody olbrzymie, nie cofa się nawet przed użyciem peruki. Przebiera się za Anglików, Brazylijczyków, Japończyków, a że silny jest w ornitologii, o tem nie ma co już i mówić.

Wuj nie domyśla się niczego, i pozwala zapalonemu klientowi rozmawiać spokojnie ze siostrzenicą i targować się o *inséparables*; nie spuszcza ich jednak z oka, to jest, nie papużki, ale pannę Cecylię i mojego przebranego przyjaciela, Juliusza V. i bacznie nadstawia ucha.

Ale panna Cecylia, w sprytnej swej główce znalazła cudowny sposób ukrycia rozmowy swej z Juliuszem przed zazdrosnym stryjem.

Tak wyuczyła mnóstwo papug znajdujących się w sklepie, że na dany przez nią pewien znak, poparty kawałkiem cukru albo bułki zmaczanej w winie, wszystkie naraz zaczynają krzyczeć.

Otóż, gdy mój przyjaciel Juliusz V. zbliża się do kontoaru, za którym siedzi panna Cecylia, wszczyna się wrzask niezmierny, wśród którego młoda para swobodnie najczulsze sobie słowa powtarza:

— *Kau! kau!* Cesiu moja droga!... *Monsieur Zoko!..* Kocham cię coraz bardziej!.. *Ran, ran, ran!* Sprzeniewierzyłeś mi się!.. *Gra, gra, gra!* Oh! Cecylio!.. *Na ramię broń!* Miałeś przyjść wczoraj... *Bon jour monsieur Lambert!..* Nie mogłem.... *Kua, kua, kua!* Zdradzasz mnie!... *Ko! ko, ko!* Bądź jutro na dworcu kolei zachodniej... *Plan, plan! plan!..* Nie chcę!.. *Gość idzie! gość idzie!* Będziesz, najdroższa!.. *Kup, kup!* O której godzinie? *Adieu, mon plaisir!...* O dziewiątej... *Fra ra ta! ro ta ta!...*

I dzięki piekielnej tej wrzawie, wuj panny Cecylii nie może ani słowa zrozumieć, o czem mówią zakochani. Niecierpliwi się tylko i zwraca uwagę, że gość zadługo bawi w sklepie, nic nie kupując. Niekiedy nawet dotkliwie daje to czuć mojemu przyjacielowi Juliuszowi V.

W takich wypadkach, nieszczęśliwy młodzieniec, zmuszony wybrać cokolwiek, kupuje zwykle kanarka i płaci gotówką. Zaledwie jednak wyjdzie na ulicę, kanarka puszcza na wolność a małą klatkę, razem z nim kupioną, rzuca do Sekwany.

Dalsze dzieje uwolnionego ptaszka opowiedziałem na początku.

A teraz, ilekroć razy zobaczycie tłumne zbiegowisko na jednej z ulic Paryża, nie myślcie zaraz, że to rewolucye, że będą stawiać barykady, ale szukajcie na dachach kanarka, a gdy go spostrzeżecie, zanućcie w głębi duszy: „Szczęśliwi zakochani, którym ręka w rękę, oko w oko, wesoło i rozkosznie, wśród wrażeń miłości, życie to upływa!

II.

Narzeczony Estelli ma lat dwadzieścia pięć. Jest to młodzieniec przyjemny, o łagodnem spojrzeniu i bujnych włosach. Nie wdając się w długie opisy, powiem tylko, że każda panna, choćby najbardziej zajęta swoją toaletą, spostrzegłszy go, nie może powstrzymać się, żeby nie pomyśleć:

— Nie brzydki chłopiec!

Co do siedmnastoletniej Estelli, to anioł prawdziwy. Skromna, dobra, naturalna, bez żadnych pretensyi i kaprysów. Komu by ten wierny portret nie wystarczał, ma prawo wykończyć go według swego upodobania, w jakim celu załączam tu paczkę najodpowiedniejszych przymiotników: zgrabna, piękna, nadobna, czuła, łagodna, wesoła, rozkoszna, czarująca, powabna, rozsądna, dowcipna, zachwycająca, prześliczna, itd. itd.

Estella posiada wszystkie te przymioty, a oprócz tego wiele innych, o których pomówimy może przy innej sposobności.

Estella ma więc narzeczonego.

Powiecie może, że to cokolwiek zawcześnie; nie chcę się sprzeczać w tej mierze, cytuję tylko fakt.

Narzeczonym tym jest wyżej wzmiankowany młodzieniec, a mój przyjaciel Panatin (Ludwik), zakochany, jak sam twierdzi, po uszy, w nadobnej Estelli, której portret staraliśmy się skreślić przy pomocy łaskawego czytelnika.

W tem miejscu wypada nadmienić, iż narzeczony Estelli jest statystykiem; a jakkolwiek statystykiem w najskromniejszem pojęciu tego wyrazu, nauka wszakże „o czynach społecznych, wyrażonych cyframi“ znalazła w moim przyjacielu Panatin (Ludwiku) zapalonego choć jałowego zwolennika, zasadzającego całą swą sławę na o lezwaniu się na publicznem posiedzeniu towarzystwa którego jest członkiem:

— Panowie! Obecnie w Europie znajduje się tak w magazynach jak i w rękach prywatnych 46,763.651 parasoli. Jeżeli parasole te położymy wzdłuż jeden za drugim, otrzymamy linię, której długość równać się będzie obwodowi ziemi.

Takim jest mój przyjaciel Panatin (Ludwik), narzeczony Estelli.

Ale źle się wyrażam, nazywając go ciągle narzeczonym Estelli.

Faktem jest bowiem, że od pewnego wieczora upłynionego miesiąca czerwca, przyjaciel mój Panatin (Ludwik), będąc zawsze statystykiem *hors concours*, utracił charakter przypuszczalnego męża siedmnastoletniej Estelli.

A jak się to stało, opowiem:

* * *

Owego wieczora czerwcowego, nadobna Estella i Panatin (Ludwik), ona w białej sukience, on w białym krawacie, siedzieli we dwoje w ogrodzie rodziców dziewicy, wspólnie wzdychając i wpatrując się w złociste gwiazdeczki, ukazujące się jedna za drugą na ciemniejącym błękicie.

Nic nie mówili. Wieczór był prześliczny. Balsamiczny zapach egzotycznych krzewów napełniał powietrze. Głęboka cisza panowała w uśpionej naturze. Zdala tylko dochodziły rzewne tony fortepianu. Była to jedna z owych czarownych nocy, w których z rozkoszą by się płakało, i w których nawet zdecydowanemu na bezżeństwo kawalerowi przychodzi ochota rzucić się do drobnych nóżek jakiegoś dziewczęcia i zawołać miłośnie:

— Bierz mnie pani takim, jakim jestem, a zapewnisz szczęście potworowi!

Nic nie mówili. Lekki wietrzyk zaledwie poruszał listki na wierzchołkach drzew wyniosłych.

Nagle narzeczony Estelli, wyjął w milczeniu notatkę i ołówek z kieszeni od kamizelki.

Co myśli on pisać? Sonet zapewne? O, tak! Poezye bezwątpienia, a przynajmniej wiersz czuły na cześć tej świeżej, czarującej towarzyszki, którą oczyma zdawał się pożerać.

Jakiż przepyszny przedmiot do czterowiersza owe koralowe usteczka, same w sobie stanowiące najpiękniejszy poemat!

Estella pocichutku uśmiechała się pod osłoną zmroku, a serce jej biło rozkosznie, gdy okiem śledziła palce młodzieńca szybko przebiegające po białej ćwiarteczce papieru.

On pisał i pisał! prędko, prędko, coraz prędzej! Widocznie był w natchnieniu...

Naraz, podnosząc głowę i z największym spokojem opierając koniec ołówka na swoim nosie, mój przyjaciel Panatin (Ludwik) przerwał poważną ciszę nocy temi dziwnemi słowy zwróconemi ku drżącej z miłego wzruszenia narzeczonej:

— Ile pani wina wypijasz dziennie?

Biedna Estella zarumieniła się, potem zbladła i odrzekła:

— Ależ... nie wiem doprawdy... może pół butelki... może mniej...

— Dobrze — szepnął i ołówek jego zaczął na nowo kreślić tajemnicze dzieło.

Po niejakiej chwili narzeczony Estelli zwrócił się z powagą do pani swoich marzeń i zapytał:

— Czy chcesz luba wiedzieć, ile różnych rzeczy przeszło przez twe rumiane usteczka, od czasu jak żyjesz na świecie? Zaraz ci wyliczę....

— Oh! panie! — zawołała zdumiona Estella.

— Dziwisz się?.. pojmuję to. Statystyka jest zadziwiającą nauką. Ale podziw twój dojdzie do ostatnich granic skoro wyczytasz z tej kartki, ile to i jakich przedmiotów złożyło się na niezrównane twoje wdzięki!

— Ludwiku! — westchnęła Estella.

— Przez lat siedmnaście — ciągnął dalej z krwią zimną — a dla dokładności biorąc przeciętną tylko z lat piętnastu, zużyłaś:

Wołów i cieląt . . .	5.	
Baranów	42.	
Konia	1/4	
Kurcząt	327.	
Kaczek	203.	
Gęsi	27.	
Indyków	80.	
Drobnych ptaszków . .	824.	
Ryb morskich . . .	75.	kil.
„ rzecznych . . .	83.	„
Jaj	3.120.	
Jarzyn i legumin . . .	789.	wiązek.
Owoców	603.	koszyków.
Sera	173.	kil.
Zajęcy i królików . . .	123.	
Różnej zwierzyny . . .	89.	
Mąki w chlebie i w potrawach .	29.	worków.
„ w ciastach . . .	11.	„
Wina	11.	beczułek.
Mleka	69.	hektolitr.
Wody	55.	„

— Dosyć, panie! dosyć tego! — zawołała Estella.

— Gniewasz się, aniele? — zapytał z naiwną łagodnością jej narzeczony.

Dziewczę nic nie odpowiedziało, ale nazajutrz rano mój dobry przyjaciel Panatin (Ludwik) otrzymał pocztą następujący bilecik:

Łaskawy Panie!

„Nagła słabość naszej ciotki zniewala nas do bezzwłocznego wyjazdu do kraju Franciszka Józefa. Z tej przyczyny z przykrością widzimy się w konieczności przerwać miłe z panem stosunki.

„Chciej pan przyjąć zapewnienie etc...“

Narzeczony Estelli nic a nic z tego nie domyślił się. Dotąd jeszcze trwa w przekonaniu, że ubiegł go jakiś rywal.

Ernest d'Hervilly.

Treść Nr. 47.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.